

KROKI WIARY,  
TOM I



# Śledztwo Setnika

DAVIS BUNN  
&  
JANETTE OKE

**Psalm18.pl**  
twoje źródło inspirujących książek

---

[www.wydawnictwo.psalm18.pl](http://www.wydawnictwo.psalm18.pl)





## OD AUTORÓW

Może to brzmieć jak uproszczenie, ale z całego serca tak właśnie myślimy. Czujemy się niezmiernie uprzywilejowani, że Pismo Święte zostało spisane, zachowane i przekazane nam. Cóż za nieopisane błogosławieństwo – mieć łatwy i szybki dostęp do relacji opowiadających o naszych duchowych korzeniach! Pisanie powieści o wczesnych dziejach Kościoła pogłębiło naszą wdzięczność.

Ze szczerym poczuciem wdzięczności dziękujemy również Wam, Gary i Carol Johnson, za udział w umożliwianiu nam dziełenia się naszym fundamentem wiary z wieloma czytelnikami na przestrzeni całej naszej pisarskiej kariery. Przez swoje zaangażowanie, zachętę, wrażliwość, trafne uwagi, przyjaźń i ciężką pracę wzbogaciliście nasze życie w tak wielu wymiarach. Przyjmijcie nasze szczere podziękowania i niech Bóg Wam obojgu nadal błogosławi. Wiemy, że zostawiliście Bethany House Publishers w dobrych rękach, i możecie cieszyć się wszystkim, co Bóg ma jeszcze dla Was w kolejnych latach, już bardziej wypełnionych odpoczynkiem.

Autorzy





## ROZDZIAŁ PIERWSZY

*33 r. n.e., Cezarea, rzymska prowincja Judea,  
sześć dni przed świętem Paschy.*

Zazwyczaj Lea żwawym krokiem podążała ścieżką prowadzącą z głównej kuchni do łaźni, jednak dzisiaj, gdy śródziemnomorska bryza owiewała jej twarz, a słońce jeszcze nie paliło w głowę, nie mogła się powstrzymać, by nie zwolnić kroku. Słyszac krzyk morskich ptaków, podniosła wzrok. Jakże spokojny był to widok... Na niebie wisiało kilka chmur, przypominających stadko jagniąt. W dole poniżej ścieżki fale morskie delikatnie odbijały się wzdłuż krawędzi wzniesienia. Nawet odgłosy wczesnej krzątany docho-  
dzące ze znajdujących się za nią pałacowych zabudowań nie były w stanie zmniejszyć przepełniającego ją poczucia rozkoszy.

Przez chwilę Lea chłoneła to wszystko. Jej spojrzenie wędrowało po rozciągającej się przed nią panoramie. W końcu odwróciła się od błękitu morza, by przypatrzeć się pięknemu miastu. Cezarea rozpo-  
ścierała się nad brzegiem morza niczym królewski naszyjnik, w którym najcenniejszy klejnot stanowił pałac Poncjusza Piłata. Stojąc na skalistym zboczu Lea obserwowała zabudowany dziedziniec z mi-

sternymi kolumnami, rzeźbami, okazałymi, wyłożonymi ceramiką łaźniami oraz imponującą marmurową fasadą samego pałacu.

Szerokie i ogromne schody wejściowe prowadziły ku złoconym podwójnym drzwiom. W innych okolicznościach Lea uznałaby ten widok za niezwykle piękny. Gdy dorastała, wyrafinowane, eleganckie życie nie było jej obce, lecz nigdy nawet nie śniła o mieszkaniu w pałacu gubernatora Judei. A jednak w dziwny sposób była teraz częścią tego wszystkiego.

*W innych okolicznościach...*

Pierwszy raz od długiego czasu myśli Lei powędrowały w przeszłość i do innego kraju, do jej babci. Co babcia by sobie pomyślała, gdyby mogła teraz Leę zobaczyć, w całym tym splendorze? Dziewczyna przypominała sobie, jak starsza kobieta często głaskała ją po policzku i mówiła: „Bóg ma dla ciebie wspaniałe plany, moja mała.” Następnie klepała się po okrytym jedwabiem, wydatnym biuście dłonią upstrzoną klejnotami, jakby przypieczętowując tę obietnicę w swoim sercu. Jej kochana babcia. Ileż Lea by dała, by móc z nią teraz spędzić choćby kilka godzin. Ale nie było jej w domu już osiem długich lat. Już nigdy nie będzie miała okazji zobaczyć babci.

Westchnąwszy, Lea odwróciła się od bogactwa pałacu, kierując z powrotem wzrok w stronę morza. *Jego powierzchnia błyszczy jak klejnoty babci* – pomyślała. Jak łatwo byłoby w tych okolicznościach przeoczyć fakt, iż była tutaj, ponieważ nie miała innego wyjścia... Jej prawdziwy dom znajdował się daleko za tymi skłębionymi falami. To prawda, nie było już tam dla niej miejsca, ale jej serce nadal tam biło. Czy jeszcze kiedyś zobaczy Weronę? W Rzymie jej matka również stawiała czoła nowej sytuacji, samotna, pozbawiona wszystkiego. Lea tęskniła za matką, która, na ile tylko potrafiła, obdarzała ją miłością i pociechą. Ale teraz Lea tkwiła

w pułapce, w tym wspaniałym pałacu rzymskiego gubernatora, otoczona elegancją, którą mogła podziwiać wyłącznie z pewnej odległości. Tak, urodziła się wśród bogactwa, jednak teraz stała tu, w tym miejscu – tylko trochę więcej niż niewolnica. Gorycz przepełniła jej gardło i na moment pozbawiła oddechu.

W jej głowie pojawiła się inna myśl. I tak znalazła się w lepszej sytuacji niż jej dwie starsze siostry. Była wolna, jeśli nie w ciele, to przynajmniej w duchu. Mogła powiedzieć, że jej życie należy do niej, nawet jeśli było to życie służącej. Wolała raczej być służącą w domu Piłata, niż niewolnicą mężczyzny, którego ani by nie kochała, ani nie szanowała, a który rządziłby jej każdym ruchem. Jej więzy były o wiele łatwiejsze do zniesienia, tego była pewna.

Lea rzuciła jeszcze jedno tęskne spojrzenie na błękitny przestwór morza, po czym, zdecydowanie unosząc ramiona, ruszyła w stronę łaźni. Jej pierwszym obowiązkiem w ciągu dnia było wyłożenie świeżych ręczników i szat oraz upewnienie się, że kąpiącym się nie zabraknie drogich maści i mydeł.

*Musisz wziąć ze świata to, co jest dobre dla ciebie.* Cichy, lecz stanowczy głos odbił się echem w jej pamięci. *Świat nigdy nie przyjdzie do ciebie z wyciągniętą ręką.* To były słowa jej ojca. Jednak nawet gdy je sobie przypomniwała, musiała przyznać, że jemu samemu ta filozofia nie przyniosła żadnej trwałej nagrody.

\*\*\*

Następnego ranka napięty plan obowiązków Lei nagle zamienił się w chaos. Jak każda służąca w domu Piłata, zawsze obawiała się nowiny o wyjeździe jej pana do Jerozolimy. Dla sług i niewolników oznaczało to, że ich codzienne obowiązki, już i tak rozpoczynające

się we wczesnych godzinach porannych i ciągnące się aż do późnej nocy, zostaną zwielokrotnione.

Lea pędziła, by nadążyć za coraz bardziej szaleńczym tempem zadań. Poprzedniego wieczora, kiedy wreszcie skończyła dzień pracy i położyła się na swoim posłaniu w komnatach służących, czuła się całkiem dobrze, jednak już w nocy wierciła się niespokojnie, a kiedy uniosła dłoń do czoła, wiedziała, że ma gorączkę. Przed świtem poszła do kuchni, aby napić się wody, po czym jeszcze zasnęła i miała nadzieję, że złe samopoczucie jej przejdzie. Ale teraz czuła, że opada z sił, a liczba zadań narastała wraz z upałem.

Lea wiedziała, że jej pani, żona Piłata, dostrzega, jak niemrawa jest od rana jej służąca. Próbowwała przyspieszyć kroku i rozpo-godzić oblicze. Troski służących, niezależnie od ich źródła, nie mogły zepsuć dnia pani. Ale w miarę jak upływały kolejne godziny Lea stwierdziła, że nie jest w stanie dłużej udawać, iż wszystko jest w porządku. Czuła się, jakby w jej ciele rozgorzało ognisko. Cierpiała na rozstrój żołądka, a jej kości były obolałe od głowy aż do stóp.

Dotknęła ręką twarzy, jej palce poczuły nienaturalne ciepło. Choć sama pierwszy raz zapadła na gorączkę, która nawiedzała kraj każdej zimy, dobrze znała jej objawy. Czuła, że powolne pie-czenie zaczyna palić jej kończyny. *Nie mam czasu na chorowanie* – jęknęła w duchu. – *Nie dzisiaj!*

Na twarzy strażnika pałacowego, który wyłonił się zza rogu łaź-ni i spojrzał na nią z oddali, Lea dostrzegła grymas niezadowole-nia. Czy coś zauważył? Może powłóczyła nogami lub zataczała się? Zmusiła się, by iść dalej. Choć słońce chyliło się ku zachodniemu horyzontowi, wciąż było tak wiele do zrobienia. Przecież jutro wszy-sczy wyjeżdżają do Jerozolimy, gdzie Poncjusz Piłat ma objąć rządy w celu utrzymania pokoju w trakcie corocznych świąt Paschy...

Lea niechętnie odwróciła się w stronę kwater służby. Gdyby mogła odpocząć przez chwilę... W połowie drogi poczuła się, jakby jakaś morska fala wzbierała i zalewała ją. Przytrzymała się ściany, niepewna, gdzie się znajduje, a popołudniowe światło przygasło, jakby już zaczynała się pora szarówki. Usłyszała, że jakiś głos woła ją po imieniu, ale nie miała siły odpowiedzieć. Lea nie bała się ciemności, która ją właśnie ogarnęła. Właściwie to nawet się ucieszyła.



## ROZDZIAŁ DRUGI

*Dziewięć dni później.*

W ciemnościach wczesnego poranka Lea bardziej poczuła niż usłyszała swoje imię. Usiadła na posłaniu na dźwięk szeptu tak delikatnego, że można go było niemal zignorować. Ów szept zniknął wraz z odzyskaniem świadomości, ale wspomnienie pozostało. Lea mocno czuła, że niezależnie od powodu, jej imię zostało wypowiedziane z miłością i łagodną troską. Dopóki nie wstała na nogi, nie zdawała sobie sprawy, że gorączka zniknęła.

Przez ponad tydzień leżała w komnatach służących, tak słaba, że nie mogła wstać bez pomocy. Godziny obliczała na podstawie odległości, którą słońce przemierzyło wzdłuż wyłożonej kafelkami podłogi. Teraz umyła twarz w umywalce pod ścianą i zwinęła swoje posłanie, jak gdyby wcale nie chorowała. Jej twarz była chłodna w dotyku. Wyciągnęła ręce i popatrzyła na swoje dłonie, zdziwiona, że już nie drżą. Potrząsnęła głową żałując, że nie może przypomnieć sobie szczegółów snu. Była pewna, że głos który wymawiał jej imię z taką łagodnością, należał do mężczyzny. Świt jawił się dopiero jako słaby płomyk



na wschodnim niebie. Wyciszone fale załamujące się pod pałacowymi murami, były jedynie cieniami o różnym natężeniu światła i ciemności. Na niebie para gwiazd opierała się wschodzącemu słońcu.

Dwóch wartowników szło naokoło pałacu, gasząc po drodze pochodnie. Prawie wszyscy byli już w Jerozolimie, więc pałac tonął w całkowitej ciszy, inaczej niż wtedy, gdy przebywał w nim Poncjusz Piłat. Wówczas dom huczał od gwaru, a atmosfera była nieprzyjemna i gęsta od napięcia. Nawet gdy noc przynosiła spokój, to pałacowe wnętrza były wypełnione wyczekiwaniem, niekiedy strachem. Nie było czasu na prywatność, zwłaszcza dla młodych sług, takich jak Lea.

Lea weszła do kuchni i zastała Dorit siedzącą na swoim posłaniu. Starsza kobieta wołała spać w pobliżu ognia, choć oznaczało to konieczność wstawania wraz z przybyciem do kuchni pierwszego niewolnika. Ale nawet gdy pomoc domowa wyjechała, Dorit nigdy nie spała po nadejściu świtu.

Na widok Lei oczy starszej kobiety rozszerzyły się.

– Czemu nie leżysz w łóżku? – zapytała.

– Czuję się, jakbym wyszła z więzienia.

– Więc jest ci lepiej?

– Nawet więcej, Dorit. Czuję się naprawdę dobrze.

– Chodź, niech dotknę twojego czoła – Dorit wstała i położyła pokrytą starczymi plamami dłoń na czole Lei. – Bałam się o ciebie, dziecko.

Odpowiedź Lei została przerwana przez okrzyk wartownika dobiegający od strony bram pałacowych. Słyszając tętent zbliżających się koni, Lea wyprostowała się. Chwilę później, gdy konie stanęły, przybysz powiedział coś do strażników. Lea od razu rozpoznała ten głos, zdarty przez wiele lat i bitew.

– To Hugo – zauważyła.

– Niemożliwe – Dorit powoli przeszła przez izbę, aby usiąść przy stole. – Wyjechał po tym, jak dostałaś wysokiej gorączki. Musi być w Jerozolimie razem z Piłatem.

Lea nie marnowała czasu na dyskusje. Pochyliła się nad ogniskiem w kuchni i dmuchała na tłące się drewno, aż z żaru wydobyły się języki ognia.

Po chwili usłyszały odgłos kroków na tarasie, a za ich plecami rozbrzmiał głos Hugo.

– Więc się obudziłaś? Świetnie. Dałbym się pokroić za kąpiel.

Straż domowa Piłata stanowiła mieszankę osób różnej maści i usposobienia. Hugo był ulubieńcem Lei, szpakowatym weterynarzem, pozostającym na usługach Piłata od jego najwcześniejszych kampanii przeprowadzonych na północy, w Galii. Hugo, w przeciwieństwie do innych, nie musiał nikomu nic udowadniać.

– Nie ma jeszcze ognia, ani na kąpiel, ani na herbatę – Lea odwróciła się i uśmiechnęła na powitanie. – Ale i tak miło cię widzieć.

Postawny mężczyzna chrząknął pod nosem, po czym z westchnieniem usadowił się na stołku, po przeciwnej stronie stołu niż Dorit. Kuchnia była obszerna, miała czterdzieści stóp długości i prawie tyle samo szerokości, z dwoma spiżarniami, do których wejścia znajdowały się od ściany wschodniej. Stół ciągnął się wzdłuż środka kuchni i był wystarczająco duży, by pomieścić naraz wszystkich służących i niewolników.

Strażnikom nie wolno było wchodzić do kuchni ani do domu, z wyjątkiem niektórych zaufanych żołnierzy, takich jak Hugo. Inni jedli w domu dla strażników, zadreńczając nieszczęsnych niewolników, posyłanych do kuchni, by przynieśli im jedzenie.

Hugo znowu chrząknął rozprostowując nogi.

– Jechałem przez całą noc i cały poprzedni dzień. Zostałem wysłany z Jerozolimy, gdy Piłat wyruszył.

– To pan już jest w drodze powrotnej? – wykrzyknęła Dorit, unosząc się ze swojego miejsca.

– Siadaj – powiedziała Lea krojąc chleb i stawiając go na stole między nimi. Następnie podała oliwki, kozi ser i suszone owoce. Śniadanie żołnierza.

– Myślisz, że nasz Hugo by tak sobie siedział, gdyby Piłat miał zaraz przybyć? – zapytała.

Hugo chrząknął z wdzięcznością i spojrzał na nią.

– A jak z tobą? Już dobrze się czujesz?

– Tak, naprawdę – Lea napełniła miedziany garnek wodą i zawiesiła nad ogniem. Zawahała się, a potem dodała, zwrócona w stronę płomieni:

– Rano śniło mi się, że słyszę głos. Ktoś wołał mnie po imieniu, chyba mężczyzna. Obudziłam się, a gorączka zniknęła. Nawet więcej. Czuję się tak, jakbym nigdy nie była chora.

Bardziej poczuła niż zobaczyła, jak Hugo podnosi wzrok i przygląda się jej, ale o nic nie spytał, ani niczego nie skomentował.

Lea odwróciła się i w milczeniu dorzuciła więcej drewna w płomień. Nawet gdyby zapytał, nie wiedziała, co mogłaby jeszcze dodać.

Wszyscy obawiali się skomplikowanej i trudnej przeprowadzki z jednego pałacu do drugiego. Gubernator nienawidził Jerozolimy, a jego paskudny nastrój wpływał na wszystkich.

Lea nigdy nie udawała choroby, w przeciwieństwie do innych służących, mających nadzieję znaleźć się wśród nielicznych, którzy zostaną, aby doglądać nadmorskiego pałacu, cieszyć się morską bryzą i wypełnionymi lenistwem dniami. Nie, jej choroba była jak najbardziej prawdziwa. Nawet przerażająco prawdziwa. W momentach, kiedy odzyskiwała przytomność, słyszała innych służących, jak szeptali, przewidując, że gdy wrócą z Jerozolimy, ona już nie będzie żyła.

– Pani martwiła się o ciebie – odezwał się Hugo, przeżuając kęs. – To znaczy, dopóki sama się nie rozchorowała.

Lea odwróciła się w jego kierunku z uwagą.

– Ma sny, złe sny – kontynuował Hugo. – Odkąd przybyliśmy do Jerozolimy, nawiedzają ją koszmary gorsze niż zaraza. Jej krzyki budzą cały dom.

– Powinnam do niej jechać – mruknęła Lea.

– Przecież to ona przyjeżdża do ciebie, skarbie – przerwał jej Hugo. – Wszyscy będą tutaj przed zmrokiem. Przyjechałem przed nimi, żeby was poinformować.

– Czyli Piłat jedzie z żoną? – zapytała szybko Dorit.

– Jest przy niej cały czas.

– Jej stan musiał się poprawić, skoro zdecydowali się na podróż.

– Nie zauważyłem tego, kiedy ostatnio ją widziałem – Hugo wsadził sobie do ust oliwkę. – Jest mięso?

– Na pewno zostało trochę solonej wieprzowiny z wczorajszej kolacji – powiedziała Dorit.

– I piwo – dodał Hugo. – Jak już mówiłem, jechałem całą noc, strasznie mi się chce pić.

Dorit odwiązała z talii pęk kluczy i wręczyła go Lei. Dziewczyna podeszła do zamkniętej komnaty, znalazła właściwy klucz i otworzyła drzwi. Minęła półki ze złotymi i alabastrowymi naczyniami przeznaczonymi na stół Piłata, a także amfory z miodem i winem. Zatrzymała się przed serami i solonym mięsem. Wzięła z półki talerz wieprzowiny i zaniósła na stół, po czym wróciła, aby napełnić kubek zawartością kamiennej kadzi.

Kiedy zamknęła drzwi i przyniosła piwo, Hugo wziął kubek i wypił od razu całą zawartość. Westchnął z nieukrywaną satysfakcją, odstawił puste naczynie i rzekł:

– Były problemy z Prorokiem.

Żadna z kobiet nie zapytała, o kim mówi. Dorit spytała tylko:

– Są jakieś zamieszki?

– A siedziałbym tu, gdyby były? – wzrok Hugo skupił się na talerzu, podczas gdy Lea nakładała mu plastry wieprzowiny. – Ten kraj to wylęgarnia problemów, a Prorok jest sprawcą większości z nich – podniósł kęs do ust, potrząsając głową.

Lea wsypała po szczypcie suszonych liści do trzech kubków, zalała wodą z dymiącego garnka i postawiła jeden przed Dorit. Hugo wziął swój kubek, odsunął talerz i powiedział:

– Sanhedryn groził Piłatowi buntem. Powiedzieli, że ten Rabbi, ten Jezus, zbluźnił przeciw ich Świątyni i ich Bogu. Że ogłosił się królem Judejczyków.

– Nie mógłby być gorszym sprzymierzeńcem dla Piłata niż Herod – ponuro stwierdziła Dorit.

– Piłat przesłuchiwał Proroka. Byłem przy tym. Dziwne, w życiu czegoś takiego nie widziałem, a widziałem już wiele.

– Opowiedz, co się stało – poprosiła Dorit.

– Ten człowiek był niewinny. To było czuć w każdym Jego oddechu. Piłat to wiedział i ja też wiedziałem. Tłum zebrany w twierdzy Antonia miał z Niego uciechę. Na rozkaz Piłata został ubiczowany, ale Rada i tak zażądała Jego śmierci.

– Jak... ale co w końcu zrobili? – Lea nie była pewna, dlaczego ją to właściwie obchodzi.

– Z pewnością Go ukrzyżowali – skrzywiła się Dorit. – Wcale nie żałuję, że ominął mnie ten widok.

– Twoje słowa nie mogłyby być bardziej trafne – twarz Hugo ociosały dekady wystawienia na wiatr, słońce i niepogodę oraz wojny, jednak raczej coś innego niż siły natury sprawiło, że wyglądał, jakby postarzał się, odkąd wyjechał z Cezarei. Wzrok utkwiał gdzieś poza kuchnią, kierując spojrzenie na wschodzące słońce

i falującą wodę. Jego głos stał się cichszy i głębszy. Obie kobiety pochyliły się do przodu, by usłyszeć jego słowa.

– W momencie Jego śmierci rozpętała się burza, a ziemia się zatrzęsała – spojrzał na dłonie, które złożył przed sobą na stole.

– Bałem się.

– Ty?

– Byłem przerażony. Myślałem, że bogowie nas atakują. Wciąż tego nie rozumiem. To było tak, jakby cały świat stracił nadzieję.

– Ale On już nie żyje, więc ten problem mamy za sobą – stwierdziła jak zawsze praktyczna Dorit.

– Mam nadzieję, że masz rację – na widok zamglonego spojrzenia i pustego wyrazu twarzy żołnierza Lea wzdrygnęła się, jakby sama była świadkiem tamtej chwili. Hugo potrząsnął głową i otworzył dłonie, rozkładając je przed sobą wnętrzem do góry.

– Ale kiedy tu jechałem i tylko księżyc oświecał mi drogę, miałem uczucie, że już zawsze będą nam towarzyszyć problemy.

\*\*\*

Lea weszła do sypialni Proculi, otworzyła okna, wpuszczając chłodną morską bryzę i wyłożyła świeżą pościel, przygotowując wszystko na przybycie swej pani. Przymocowanym do paska kluczem otworzyła komorę w ścianie i odliczyła sześć srebrnych denarów. Zanotowała tę sumę na zwoju, który zostawiła w komorze, kiedy żona namiestnika powierzała jej kontrolę nad domowymi finansami. Wcześniej nikt ze służby nigdy nie prowadził takich rachunków. Wiedziała o tym, ponieważ przed nią kontrolę nad pieniędzmi sprawowała Dorit, a ona nie umiała czytać ani pisać. A poprzednik Dorit też nie spisywał wydatków, ponieważ był zło-

dziejem – ze wszystkiego, co kupował, odliczał sobie coś, co nazywał procentem poborcy podatkowego.

Lea nie miała pojęcia, czy Procula kiedykolwiek zagląda do tego zwoju, bo nigdy nic o tym nie wspomniała. Ale Lea nie mogła sobie pozwolić na ryzyko oskarżenia, nawet gdyby miało się ono okazać fałszywe. Kiedyś jej ojciec został oskarżony przez nieuczciwych współników o kradzież, a potem zhańbiony bankructwem. Lea absolutnie nie chciała, by taki skandal był łączony z jej osobą. Policzyła klejnoty i pieniądze, sprawdziła, czy suma zgadza się z jej ostatnim wpisem, po czym zamknęła komorę na klucz.

Kiedy wychodziła z pałacu, strażnicy bacznie się jej przyglądali, ale nie odezwali się. Potrafili być nieokrzesani wobec dziewcząt służących na dworze, zwłaszcza wobec tych, które w ten czy inny sposób nie należały do żadnego z nich, lecz cała służba znała Leę jako bratanicę Piłata, co było prawdą, a zarazem nią nie było. Jej dziadek był bliskim współpracownikiem ojca Piłata. Ojciec Lei jako dorosły został zaadoptowany do rodziny, co było oznaką sympatii całkiem często spotykaną w pewnych kręgach rzymskiego społeczeństwa. A potem nastąpiła ta katastrofa finansowa. W czasie jej trzyletniego pobytu w Judei opowieści o hańbie ojca Lei wciąż krążyły i odżywały na nowo. Codziennie marzyła, by móc zaprzeczyć tej gorzkiej prawdzie.

Rynek w Cezarei, spory jak na takich rozmiarów miasteczko, przyciągał handlarzy ze stron tak dalekich jak Arabia, Aleksandria, a nawet Galia. Kupcy rozkładali towary na straganach zbudowanych wokół centrum rynku. Cała administracja Cezarei składała się z Rzymian, a większość mieszkańców regionu była obcokrajowcami. Nawet miejscowi Judejczycy – w odróżnieniu od pobratymców z innych części Judei – częściej mówili po grecku, niż po aramejsku.

Lea przemyciła przez rynek, niecierpliwie zamawiając towary i targując się. Zawsze usiłowała wynegocjować jak najlepsze ceny, lecz dziś czas był ważniejszy niż zaoszczędzenie kilku denarów. Miała zwyczaj przygotowywania na wieczorny posiłek tego, co było w sezonie – mogły to być leśne grzyby, węgorz, świeżo złożony karmazyn. Zdecydowała, że na początek poda zupę szczawiowo-szałwiową, a na deser owoce zapieczone z dzikim miodem i cynamonem. Poleciała przy każdym straganie, by dostarczony towar w ciągu godziny. Na koniec wstąpiła do apteki, gdzie kupiła paczkę okropnie śmierdzącego i absurdalnie drogiego pyłku, który wyglądał jak smoła, a smakował jeszcze gorzej. Było to jedyne lekarstwo, które pomagało Proculi na migreny. Koszmarny przerywały sen jej pani, a kiedy się nie wysypiała, następowały jeszcze gorsze bóle głowy.

Choć Lea miała zwyczaj twardo się targować, zaprzyjaźniła się z wieloma sprzedawcami. Tego ranka rozmawiali z nią o śmierci Proroka i rozważali ryzyko wybuchu powstania. Choć nie mogła zabawić dłużej, by dowiedzieć się czegoś więcej, od jednego ze sklepikarzy usłyszała plotkę, że z Jerozolimy do Cezarei przybywa również Herod Antypas. Było to czymś niesłychanym, żeby Herod wyjeżdżał z Jerozolimy w trakcie wiosennych świąt. Sprzedawca, odliczając monety na rękę Lei, głośno zastanawiał się, czy ten nagły wyjazd Heroda i Płata mógł mieć związek z ukrzyżowaniem Proroka.

Świadomość plotek i spekulacji zapewniała służącym przeżycie na dworze, gdzie liczyła się władza. Lea zapamiętała zasłyszane informacje, skrzętnie schowała resztę monet i wróciła do pałacu.

Tam, ku swemu zaskoczeniu, zastała Dorit i Hugo wciąż siedzących przy kuchennym stole. Zdecydowała, że wykorzysta okazję, by poprosić żołnierza o pomoc. Poszła do kadzi i wyłowila



ukuszonego w morskiej wodzie ogórka oraz paprykę, które cienko pokroiła. Dodała trochę chleba i postawiła przed nim na talerzu.

– Życzysz sobie coś jeszcze?

Hugo spojrział na nią, a potem spuścił wzrok na talerz.

– Urządziłaś tu prawdziwy dom.

– I zyskałam przyjaciół.

– Wielu przypuszczało, że będziesz próbowała rządzić innymi sługami w tym domu.

– Ty też tak myślałeś?

Hugo powoli skinął głową.

– Tak. Kiedy usłyszałem, że tu przyjeżdżasz, pomyślałem sobie: „Będą z nią kłopoty”.

– Nieczęsto się mylisz – uśmiechnęła się krótko.

– Poprosisz któregoś ze strażników, żeby porozpalał ogniska?

– Nie cierpią takiej niewolniczej roboty.

– W przeciwnym razie łaźnie nie będą gotowe na czas. Wiesz, że Piłat jak tylko przyjedzie, zażąda kąpeli. A ja muszę zacząć przygotowywać wieczorny posiłek i zająć się komnatami namiestnika.

– Ja ci pomogę przy pokojach – powiedziała Dorit.

– Nie, masz wystarczająco dużo roboty tutaj – Lea znów zwróciła się do Hugo. – Nie rozkazuj żadnemu, żeby to zrobił, bo potraktują to jako karę. Poproś, żeby któryś zgłosił się na ochotnika, a ja go za to dziś wieczorem nakarmię smakołykami ze stołu Piłata.

– W takim razie ja sam to zrobię.

O to jej właśnie chodziło od początku. Lea podziękowała Hugo i chciała przejść do następnego zajęcia, ale Dorit rzekła:

– Posiedź z nami chwilę, dziecko.

– Mam mnóstwo rzeczy do zrobienia, a czasu mało – zaproponowała Lea. Coś jednak w wyrazie twarzy Dorit kazało jej usiąść.

– O co chodzi?

Hugo zaczął:

– Słyszałem, jak Piłat o tobie mówi – rzekł, nie patrząc jej w oczy. – Te plotki są prawdziwe.

Lea skamieniała. Od tygodni krążyły między służbą plotki o setniku, który dowodził jednym z najdalszych garnizonów prowincji. Ów człowiek, o imieniu Alban, podobno skontaktował się z Piłatem poprzez zaufanego emisariusza i poprosił o rękę Lei. Tajemnicą pozostaje, skąd ten setnik ją w ogóle znał, bo nigdzie nie wychodziła i nie szukała towarzystwa mężczyzn. Lea robiła co mogła, by zignorować te pogłoski i miała nadzieję, że pozostanie niezamężna do końca życia.

Hugo mówił dalej:

– Piłat radził się kilku swoich oficerów. Wszyscy mówią o tym setniku w samych superlatywach.

– Dziecko, jeśli Piłat zdecyduje, że masz wyjść za setnika, to tak się stanie – Dorit ujęła drżącą dłoń Lei. – Ci, którzy go spotkali mówią, że ten Alban jest niezwykle przystojny.

– A co mnie obchodzi, jak on wygląda? Piękny wygląd rodzi pychę i arogancję – odparła Lea drżącym głosem. – Kto tak o nim mówi? Służące, którym złamał serca? Właściciele domów publicznych lub tawern?

– Żołnierze, którzy służyli z nim w boju, jak również ludzie pozostający pod jego dowództwem – odrzekł cicho Hugo. – Twierdzą, że ich dowódca jest uczciwym człowiekiem.

Dorit szepnęła do Hugo:

– Mówiłam ci, że ten plan jej się nie spodoba.

– Żołnierz musi słuchać rozkazu przełożonego – odparł, wzruszając ramionami.

– Ale ja nie jestem żołnierzem! – wykrzyknęła Lea.

Poczuła, jak na jej dłoni zaciska się ręka Dorit.

– Dziecko, Hugo rozmawia z tobą jak przyjaciel. Jeśli nie wysłuchasz, co ma ci do powiedzenia, jak możesz się na to przygotować?

– Nie ma potrzeby na nic się przygotowywać, bo to się nie...  
– nagle uszła z niej cała siła. Oparła ramiona na stole w geście bezradności.

Hugo spytał łagodnie:

– Dlaczego rodzina posłała cię, żebyś służyła w domu Piłata? Myślałaś, że przez całe życie możesz ukrywać się w kwaterach służących?

Dorit ujęła twarz Lei w dłonie i skierowała ją ku swojej.

– Musisz posłuchać, i to uważnie.

– Służę u Piłata od czasów, kiedy jeszcze używał dziecięcego miecza – ciągnął dalej Hugo. – Znam go jak mało kto. Ten człowiek nie daje nic za darmo, zawsze szuka pewnego zysku. Przehandluje cię za coś, czego będzie potrzebował.

Leę tak przepełniała gorycz, że nie była w stanie wyrzec słowa. Słowo „handel” wirowało jej w myślach. Na ostatnich miesiącach jej pobytu w domu kładło się cieniem wspomnienie dwóch starszych sióstr, które szlochając błagały, by nie sprzedawano ich jak towar w małżeństwo bez miłości. W końcu jedna została wysłana do łóżka mężczyzny jedenaście lat starszego od ojca Lei, a druga została poślubiona mężczyźnie tak tęgiemu, że od dzieciństwa nie widział własnych stóp.

Hugo mówił dalej:

– Próbowałem się dowiedzieć, co ten setnik ma Piłatowi do zaoferowania i nie przychodzi mi do głowy nic innego, jak tylko łupy wojenne.

– Piłat przecież już jest niewyobrażalnie bogaty – odparła Dorit.

– Taki człowiek jak Piłat nigdy nie ma dość bogactw. Według

mnie jedyny możliwy powód, dla którego transakcja nie doszła do skutku od razu jest taki, że Piłat potrzebuje czasu, żeby się zastanowić, co chce od tego człowieka wyciągnąć – Hugo stapał ciężko po kuchni krokiem żołnierza. – W dniu, kiedy wyjeżdżaliśmy z Jerozolimy, Piłat wysłał swojego pomocnika, Linuksa, drogą na wschód, w kierunku Galilei. Domyślam się, że decyduje, co twój przyszły mąż ma dostarczyć w zamian za twoją rękę. I przypuszczam, że to będzie miało coś wspólnego z ukrzyżowanym Prorokiem.

Lea ukryła twarz w dłoniach.

– Czy ci się to podoba czy nie, twój czas się zbliża – Hugo pochylił się do przodu, aż podniosła ku niemu oczy. – Wszyscy wiemy, że twój ojciec został okryty hańbą i umarł bez grosza.

– Został... został oszukany – ostatnie słowo wydobyło się z jej gardła w postaci szlochu.

Żołnierz machnął ręką, jakby chciał odsunąć ten argument na bok.

– Nie żyje, a jego dług pozostaje nieuregulowany. A gdzie jest twoja matka?

Kiedy Lea się nie odzywała, Dorit odpowiedziała za nią:

– W Rzymie. Mieszka we wdowiej chatce na tyłach domu swojej siostry. Żyje jak żebraczka.

– Dość! – przerwała Lea i zakryła twarz dłońmi.

Hugo mówił dalej, ale ton jego głosu brzmiał bardziej po przyjacielsku niż po żołniersku.

– Czyli twoja rodzina nie może zrobić nic, by wpłynąć na twój los. Piłat może z tobą postąpić, jak mu się spodoba. Wspomnij na moje słowa: wcześniej czy później zostaniesz oddana setnikowi – zaczął, aż Lea będzie znów w stanie podnieść wzrok. – Masz szansę sprawić, by z tego małżeństwa wypłynęły dla ciebie korzyści.

Mężczyzna pochylił się jeszcze bliżej i rzekł:

– Musisz zdecydować, co chcesz zyskać z tego związku. A potem przygotuj się, by o to walczyć.

\*\*\*

Lea próbowała zatracić się w obowiązkach dnia. Kierując się bardziej nawykiem, niż czyniąc to świadomie, wstawiła na ogień pieczeń i zupę. Gdy jedna ze służących przyniosła kwiaty zerwane z pałacowego dziedzińca, Dorit ułożyła bukiety i postawiła je na stole, a Lea kolejno, wazon po wazonie, zanosila je do głównych komnat. Zmuszała umysł do zajęcia się innymi sprawami, teraz koncentrując się na tym, by pomóc Dorit. Starsza kobieta była służącą Proculi od lat. Przyjechała ze swoją panią z Rzymu. Służba była jedynym życiem, jakie знаła. Nadal pracowała, choć kobiety w jej wieku już dawno zajmowały się lżejszymi obowiązkami.

Krótko po tym, jak Lea pojawiła się w domu Pilata, Dorit zła-mała żebro. O ile praca wcale jej nie postarzała, to ból natychmiast dodał jej lat. Lea przyjęła rolę pomocnicy Dorit, robiąc wszystko co było potrzebne, zanim ta zdążyła o to poprosić. Było bardzo trudno sprostać wymaganiom Proculi, usiłując jednocześnie ulżyć Dorit w cierpieniu. Lea chciała jej pomóc, bo coś w oczach tej kobiety przypominało jej matkę. Niemy smutek w spojrzeniu – taki był wyraz twarzy jej matki podczas ostatnich dni, które razem spędziły. Co byłoby gorsze? Nigdy nie posiadać bogactw, wysokiej pozycji, zaszczytów, czy mieć to wszystko i stracić? Jakakolwiek była odpowiedź na to pytanie, obie kobiety, matkę i Dorit, przepełniał ten sam ból i poczucie klęski.

Oprócz tego Lea i Dorit miały ze sobą niewiele wspólnego. Dorit zaznała jedynie trudnego życia służącej. Babka Lei, matka jej matki, była Judejką poślubioną najwyższemu urzędnikowi w We-

ronie, w Italii. Matka Lei, urodzona wśród bogactwa i władzy, uważała się za Rzymiankę z urodzenia, a Greczynkę pod względem kulturowym. Odrzucała wszystko, co miałoby cokolwiek wspólnego z jej judejskim dziedzictwem.

Tak oto Lea swoje pierwsze dni w Judei spędziła służąc niewolnicy i mając nadzieję, że ktoś w ten sam sposób zatroszczy się o jej mamę. W rezultacie zyskała przyjaciółkę, która czuwała nad nią w domu pełnym intryg i ukrytych sztyletów.

*Jak małe znaczenie ma teraz to wszystko...* – to pomyślawszy, Lea postawiła ostatni wazon na miejsce. Nikt nie mógł jej uchronić przed przeznaczeniem.



## ROZDZIAŁ TRZECI

*O zmroku.*

Poncjusz Piłat i jego świta dojeżdżali do pałacu w Cezarei w momencie, kiedy słońce dotykało tafli morza. Trzy tuziny ludzi: służby, niewolników i żołnierzy, pokrytych pyłem piaszczystej drogi, wspinało się na ostatnie wzniesienie przed bramami. Pomimo późnej godziny i zmęczenia długą podróżą wkroczyli do posiadłości żwawym krokiem i rozeszli się każdy do swoich obowiązków. Dzięki wysiłkom Lei służby zastali wszystko gotowe, co zaoszczędziło im krzątania związanej z powrotem z podróży. Kucharze zobaczyli, że posiłek jest już przyrządzony i napelnia dom powitalnym zapachem. Starsi stażem służby gubernatora poszli prosto do łaźni, gdzie odkryli, że woda jest nagrzana, świeże ręczniki wyłożone, kadzidła wydzielają woń, przebieralnie są przystrojone kwiatami, pomieszczenia służby przewietrzone, stół nakryty, łóżka pościelone. Wszyscy służby przywitali się miło z Leą – dzięki temu, że zorganizowała i wykonała pracę tuzina osób, mogli odetchnąć swobodnie.

Piłat pozostał przy palankinie żony, podczas gdy Lea asystowała jej przy zejściu, co musiało odbywać się ostrożnie, etapami. Już kilka razy widziała żonę gubernatora w takim stanie. Procula nie narzekała, nawet gdy nękały ją najstraszniejsze migreny, a im gorszy był ból, tym stawała się cichsza. Teraz w ogóle nic nie mówiła. Poruszała się powoli, z zamkniętymi oczami, gdy Lea prowadziła ją przez pomieszczenia służby do sypialni. Piłat stał w drzwiach, a Lea pomagała Proculi położyć się na łóżku. Zauważyła, że rysy jego twarzy, zwykle surowe, teraz złagodniały z powodu troski o żonę.

Namiestnik był z natury człowiekiem surowym, nacechowanym szorstkością żołnierza, przyzwyczajonym do tego, że natychmiast posłuszenie wykonywano jego rozkazy. Większość sług i straży bała się go i władzy, którą dzierżył. Jego stosunki z Leą ograniczały się do krótkich i zdawkowych wypowiedzi, lecz dziewczyna zawsze uważała go za człowieka sprawiedliwego. Z drugiej strony wiedziała, że gdyby mu się sprzeciwić, był śmiertelnie niebezpieczny. *On już podjął decyzję o mojej przyszłości* – pomyślała.

Potrząsnęła głową i skupiła uwagę na pani. Obmyła jej twarz chłodną wodą z wonnościami, po czym przygotowała dawkę leku zakupionego wcześniej w aptece.

– Wypij, pani.

– Nie mogę – Procula ledwie wymówiła te słowa.

– Musisz.

Procula jęknęła.

– Jeśli wypiję, to zasnę, a jak zasnę, będę miała sny.

– Obie wiemy, że ból mija tylko we śnie – Lea mówiła cichym i łagodnym głosem.

Procula potrząsnęła głową, po czym skrzywiła się z powodu zbyt gwałtownego ruchu.



– Ten ból nigdy się nie skończy.

Lea nie pytała, co jej pani ma na myśli. Będzie jeszcze wystarczająco dużo czasu na takie dyskusje, kiedy Procula poczuje się lepiej. Lea uniosła jej głowę i podniosła kielich do ust.

– Pij.

Oddech Proculi wreszcie się uspokoił i zasnęła, podczas gdy Lea delikatnie gładziła jej czoło. Dopiero wtedy zorientowała się, że Piłata już nie ma w drzwiach sypialni. Lecz jego obecność pozostała, jak gryzący zapach w powietrzu po uderzeniu pioruna. A może Lea po prostu myślała o rozmowie z nim, której spodziewała się już wkrótce?

Znowu potrząsnęła głową, zebrała brudne prześcieradła i poszła do kwater dla służby. W kuchni przywitało ją kilka cichych słów i rzadkich uśmiechów – jedyne nagrody za gorączkowe wysiłki całego dzisiejszego dnia.

Lea z westchnieniem ruszyła śpiesznie przez boczne drzwi i zostawiła brudną pościel obok wielkich kadzi do prania. Zastała Dorit siedzącą na wiekowej ławce, wpatrującą się w morze i słońce spływające poza zachodni horyzont.

Kwaterny służących i dom strażników formowały trójkąt, razem z boczną ścianą kuchni tworząc wąskie podwórze wyłożone zakurzoną mozaiką. Pod osłoną nocy niektórzy wartownicy i dziewczki ze służby korzystali z niego jako miejsca schadzek. Lea lubiła je o tej porze, kiedy ściany oddawały ciepło całego dnia, a zachodzące słońce sprawiało, że morze wydawało się jakby ulane z brązu.

Nie odnosząc się w ogóle do wcześniejszej, pełnej emocji rozmowy sprzed kilku godzin, Dorit rzekła:

– To jedyne chwile tej wiosny, kiedy naprawdę czuję ciepło w kościach.

Lea pochyliła się nad ciepłą jeszcze balustradą i wsłuchiwała się w odgłos fal załamujących się pod nimi o skały. Z napętnianej wodą morską zimnej łaźni, zza drewnianego przepierzenia, dochodziły męskie głosy. Powinna to być chwila pełna spokoju i prywatności, ale nawet tu władza Piłata rzuciła swój cień i zaprzątała jej myśli.

– Wszystko bym dała, żeby nie wychodzić za mąż – szepnęła w stronę morza.

Za sobą usłyszała, jak Dorit poklepuje marmurową ławkę.

– Chodź, usiądź przy mnie.

Pokryta zmarszczkami twarz Dorit nie zmieniała się w gniewie. Kobieta nigdy nie podnosiła głosu i rzadko wypowiadała jakieś niemiłe słowo. Od urodzenia akceptowała swój los i uśmiechała się do okoliczności, jakiekolwiek by były. Teraz też jej spojrzenie było pełne zrozumienia. Dorit zawsze zdawała się podzielać uczucia Lei, zanim wypowiedziane zostały jakiekolwiek słowa, co sprzyjało zwierzeniom. Lea wiedziała, że Dorit dochowuje tajemnicy lepiej niż zamknięty grobowiec.

Dorit nie ponowiła zachęty. Wciąż patrząc w stronę zachodu, Lea powiedziała:

– Znałam kiedyś jednego młodzieńca. Rozśmieszał mnie. O zachodzie słońca kupował mi lody i chodziliśmy na spacerówkę wzdłuż rzeki. Miałam piętnaście lat i wydawało mi się, że jesteśmy tacy zakochani. Po tym, jak ojciec... wszystko stracił, nigdy już go nie zobaczyłam. W końcu przysłał wiadomość, że jego rodzice zabronili mu spotykać się ze mną. Dziewięć miesięcy później, gdy moje siostry zostały uwięzione w dwóch okropnych małżeństwach, ojciec umarł. Wkrótce potem znalazłam się na łodzi płynącej do Judei.

Dorit odezwała się łagodnie w stronę pleców Lei:

– I boisz się, że już nigdy nie będziesz się śmiała.

Lea odwróciła się i utkwiała wzrok w prostych kamiennych ścianach, które teraz upstrzone były złotem zachodzącego słońca. Nie westchnęła, ani jej oczy nie zaszkliły się łzami. Gdy się odezwała, jej głos brzmiał nisko i bez wyrazu.

– Śmiech jest dla dzieci.

Słońce schowało się za horyzont, ale jego kolory pozostały na wieczornym niebie. Samotna mewa wydała okrzyk i powróciła do gniazda. Wszystko wokół wydawało się tak spokojne, podczas gdy w jej piersiach kłębił się chaos.

Po dłuższej chwili Dorit powiedziała:

– Mówią, że ten setnik pochodzi z północy, z Galii.

Lea podeszła i usiadła na ławce.

– Czy to źle?

Dorit wydeła usta.

– Z mężczyznami to trudno powiedzieć. Tak czy inaczej, jest obcokrajowcem, któremu udało się osiągnąć rangę setnika. I jest synem naczelnika, choć oczywiście nie pierworodnym. Jaki naczelnik wysłałby swego pierworodnego w tak zapomniany kąt imperium? Ale ci zagraniczni wodzowie mają więcej dzieci niż jest ziaren w owocu granatu. Co im za różnica: jeden mniej czy więcej?

Z łaźni na dole dało się słyszeć śmiech. Uszom Lei dźwięk ten wydał się nieokrzesany. *Mężczyźni!* – pomyślała.

Dorit ciągnęła dalej:

– Mówią, że ten setnik jest zarówno dobrym przywódcą, jak i wojownikiem. To oznacza, że prawdopodobnie był postrzegany jako zagrożenie wobec pierworodnego brata. Łatwo byłoby zabić go we śnie, takie rzeczy często się zdarzają. Ale jednak znalazł się tutaj. Słyszałam, że on ma tylko dwadzieścia cztery lata.

– A jakie to ma znaczenie?

Lea ledwie usłyszała swój własny głos.

– Pamiętaj, że on nie jest synem rzymskiego generała. Ten Alban okazał się wystarczająco dobrym wojownikiem, by awansować. Jego ojciec musi być z niego dumny, a jego starszy brat powinien się go bać – Dorit zachichotała z uciechy. – Bez wątpienia ten Gall chce cię użyć jako szczebla w karierze w kierunku Rzymu. Może się okazać, że do siebie pasujecie.

Lea zacisnęła ręce wokół talii, lecz nie zdołała do końca powstrzymać dreszczu.

– Nic nie wiem o jego zamiarach. W ogóle go nie znam...

– Ani on ciebie. Jakie to ma znaczenie?

– A co z miłością?

– Ba! Miłość jest dla poetów i książąt. Co do takich jak my, musimy mieć nadzieję na jutro pozbawione bólu.

Dorit musiała zauważyć smutek w oczach Lei, gdyż jej głos złagodniał.

– Kochanie, posłuchaj mnie uważnie. Musisz odrzucić te bezproduktywne marzenia o miłości i szczęściu. I musisz zacząć planować.



## ROZDZIAŁ CZWARTY

*Galilea, dziesięć dni po święcie Paschy.*

Podczas zmiany wartowników, dwie godziny przed świtem, Alban już nie spał. Wstał z posłania, podniósł swój krótki miecz wając go w dłoni, po czym wyszedł w ciemność nocy. Tak jak wielu innych zdolnych oficerów, źle znosił czekanie, zwłaszcza gdy kolejny dzień niósł ze sobą tak wielkie niebezpieczeństwo.

Idąc bez pośpiechu, zlustrował garnizon. Dowodził solidnie zbudowaną fortecą rzymską, położoną na największym wzgórzu pomiędzy jeziorem Galilejskim a wzgórzami Golan, dwanaście mil na północny wschód od Kafarnaum. Centralne podwórze, otoczone prostymi konstrukcjami z kamieni i drewna, obejmowało dziedziniec, baraki, łaźnie i kwatery wyższych rangą żołnierzy.

Jako setnik Alban miał do własnej dyspozycji kilka prostych komnat. Gdy wrócił do siebie, spostrzegł, że Jakub przygotował na stole śniadanie i zniknął z powrotem we wnętrzu domu. Dwóch głównych oficerów Albana stało przy ognisku strażników i udawało, że na niego nie patrzą. Znali jego zwyczaje. Przed bitwą ko-

niecznie chciał być sam. Słuchali go nie tylko dlatego, że był ich dowódcą, ale dlatego, że stanowił rzadkość – był rzymskim setnikiem, który dbał o to, by jego ludzie wracali z bitwy żywi.

Przed świtem powiał chłodny, kwietniowy wiatr. Księżyc świecił jasno i mocno; do pełni brakowało pięciu dni. Alban patrzył na horyzont i na pobliskie tereny, obmyślając plan dnia. Wiele zależało od tego, czy dopilnuje każdego szczegółu.

Myśłami przebiegł taktykę bitwy, którą miał stoczyć, a potem popłynęły one do spodziewanej nagrody. „Nagroda” miała na imię Lea i była bratanicą Piłata. Choć nigdy w życiu jej nie widział, wiedział już wiele o tej kobiecie. Lea służyła w domu Piłata, bo jej rodzina została okryta hańbą, a fortuna przepadła. Wiedział, że jest od niego pięć lat młodsza, czyli posunięta w latach jak na niezamężną kobietę z rzymskiej arystokracji. Słyszał, że nie jest postrzegana wedle rzymskich standardów jako szczególnie atrakcyjna. Była wysoka i silna, podobno niezwykle inteligentna, cicha i powściągliwa. Informator posunął się do stwierdzenia, że jej nos jest zbyt prosty, usta zbyt pełne, spojrzenie zbyt przeszywające. Albana mało obchodziły takie błahostki, a przynajmniej obchodziły go mniej niż perspektywa wżenienia się w rodzinę gubernatora.

Alban był ambitny. Poprosił Piłata o rękę tej kobiety, by osiągnąć własne cele. Teraz był przydzielony do służby w zapomnianym garnizonie na granicy dwóch mało ważnych prowincji, ale miał w sobie determinację, by zejść dużo dalej – może nawet do samego Rzymu. Ta kobieta świetnie się nada do osiągnięcia owego celu – pod warunkiem, że dziś mu się powiedzie.

Jego dwaj oficerowie wstali od ogniska dokładnie wtedy, gdy ruszył ku wejściu. Strażnik odsunął rygle i otworzył bramę, wpuszczając oddział pokrytych pyłem mężczyzn. Zasalutowali zbliżającemu się Albanowi, dysząc przy tym głośno. W świetle pochodni

nogi żołnierzy, zakurzone pyłem z drogi, wydawały się białe, jakby pokryte kredą.

– Przynieście im wody – powiedział Alban do strażnika. Następnie zapytał dowódcę oddziału:

– Jakie wieści?

– Jak rozkazałeś, czekaliśmy na potwierdzenie – odpowiedział zdyszany podwładny. – Karawana wjedzie do niebezpiecznego rejonu przy drodze do Damaszku nim nastanie południe.

Alban gestem przywołał sierżanta:

– Budź żołnierzy.

Dowódca oddziału dostał wiadro wody od wartownika i pił łapczywie. Podał je dalej swoim żołnierzom, wytarł usta i dodał:

– Piłat wrócił do Cezarei.

Alban zmarszczył brwi. Tego się nie spodziewał. Gdy Judejczycy obchodzili ważniejsze święta religijne, Piłat zostawał w Jerozolimie, by swoją obecnością dawać do zrozumienia, że Rzym nie pozwoli na żadne zamieszki. Judejczycy przybywali tam z Rzymu, Babilonu, Damaszku, Aleksandrii, a nawet z Galii, ojczyzny Albana. Przez cały okres świąteczny Jerozolima pękała w szwach, ponieważ wiele rodzin, które przyjeżdżały na Paschę, zostawało tam na Szawuot, Święto Tygodni, przypadające pięćdziesiąt dni później. Ryzyko buntu nigdy nie było większe niż w tym czasie.

– Czyli w mieście panuje spokój?

– Były pogłoski o jakiejś rewolucji. Gubernator postawił w stan gotowości cały garnizon. Judejscy przywódcy winią za te problemy Proroka.

Alban przysunął się o dwa kroki, żeby być bliżej rozmówcy.

– Tego Jezusa?

– Tego samego. Sanhedryn groził buntem, jeśli Piłat nie każe Go ukrzyżować.

To był dla niego cios. Rabbi traktował Kafarnaum jako swoją bazę i nawet uzdrowił ulubionego sługę Albana, młodego Jakuba.

– Czyli nie żyje?

– Niebo było bezchmurne, ale kiedy Prorok wydał ostatni oddech na krzyżu, nagle rozpętała się burza – dowódca oddziału szybko uczynił znak przeciw złemu urokowi.

Alban ukrył swój głęboki żal. Jego zdaniem Jezus był człowiekiem, który nigdy nie wywołałby zamieszek, ani nie rozpętał wojny. Lecz Alban był rzymskim żołnierzem pod rozkazami Piłata. Podwładni nie powinni dostrzec jego zaniepokojenia. Nie mógł ryzykować, że informacje o jego osobistych odczuciach dojdą do uszu jego dowódcy – kogoś, kto decyduje o jego losie.

– Dobrze się spisałeś. Weź swoich ludzi i idźcie odpocząć.

Alban odszedł w cień. Jeszcze nie nastał poranek. Czyli Prorok nie żyje. Ze smutkiem potrząsnął głową, a całe jego jestestwo buntowało się przeciw tej wiadomości. Z pewnością judejscy przywódcy wiedzieli, że nie mają żadnego legalnego powodu, by ukrzyżować tego człowieka.

Młody Jakub żył dzięki Prorokowi – co do tego Alban nie miał wątpliwości. Chłopak był bardzo chory. Lekarze zrobili, co mogli, ale bez skutku, i powiedzieli, że umrze przed zmrokiem. Alban był zdesperowany. Wielu szeptało, że za bardzo się przejmował losem zwykłego służącego, zwłaszcza, że był to tylko judejski chłopak, pochwycony w bitwie z bandytami. Tak, w świetle prawa Alban był jego właścicielem. Ale gdzieś w środku wiedział, że tak naprawdę całym sercem jest za tym chłopcem. Nie miał pojęcia, dlaczego darzy tę sierotę sympatią. Jego własna rodzina niczego go nie nauczyła w sprawach miłości. A jednak wiedział, że za tego chłopca oddałby własne życie.

Z ciemności usłyszał delikatny szept:



– Panie?

Odwrócił się do niższej sylwetki majacej w ciemności.

– Tak, Jakubie?

Chłopak wszedł w krąg światła.

– Słyszałem, jak żołnierze mówili o Proroku. Czy On naprawdę nie żyje?

Głos Albana zabrzmiał szorstko:

– Tak mówią.

– Ten Jezus, który mnie uzdrowił?

– Ten sam.

– Ale dlaczego? Czy zrobił coś złego?

– Nie znam powodów. Ale jednego jestem pewien: On czynił tylko dobre rzeczy. Spójrz na siebie. Jesteś zdrowy i silny.

– To dlaczego...? – głos chłopca załamał się.

Alban dotknął ramienia Jakuba. Poczuł, jak szczupłe ciało chłopca drży. Nie miał pojęcia, co powiedzieć, by go pocieszyć. Odsunął się i znów przybrał rolę dowódcy.

– Przygotuj się. Wkrótce ruszamy z misją.

\*\*\*

Wyruszyli w bledącym świetle księżyca, godzinę przed świtem. Alban prowadził swój oddział jadąc konno. Jego zastępca był jedynym oprócz niego jeźdźcem. Horaks prowadził straż tylną. Jakub truchtał u boku Albana, trzymając się jedną ręką jego prawego strzemienia. Chłopak miał dopiero dwanaście lat; był o wiele za młody, by brać udział w takiej operacji, ale dziś jej sukces zależał od jego wiedzy i znajomości.

Poruszali się pospiesznie i cicho. Zeszli do pierwszej doliny w Golan. Nocne powietrze niesło niewyraźny zapach daktylow-

ców i drzew oliwnych. Po prawej stronie na wietrze drżał młody jęczmień.

Alban rozejrzał się po okolicy. Wiatr w ciągu wieków wyrzeźbił w tych wąskich wąwozach dziwaczne kształty. Większość dolin tworzyła prawdziwe więzienia, które wiły się długo i nie prowadziły nigdzie indziej jak z powrotem do punktu wyjścia. Tylko kilka z nich otwierało drogę do Syrii. Na południe od nich, przez najprostsza i najszerszą dolinę, biegła droga do Damaszku. Partyjscy bandyci ostatnio stawali się coraz śmielsi – atakowali na tym bezludnym obszarze, a potem znikali w tajemnych dolinach.

Oddział zwrócił się na północ, wchodząc do wąwozu, o którym Alban wiedział, że prowadzi donikąd. Daleko na horyzoncie świt malował mały skrawek nieba. W dole jęczał wiatr. Gdy ściany skalne się ścieśniły, Alban spytał chłopaka:

– Jesteś pewny, że to tu wyznaczył spotkanie?

– To jest otchłań – powiedział Jakub, szybko kiwnąwszy twierdząco głową.

Koń Albana spłoszył się i zarżał, gdy jakiś mężczyzna nagle pojawił się na półce skalnej nad ich głowami. Pasterz wyszczerzył zęby w uśmiechu na widok zaskoczonych żołnierzy. Alban przyjrzał się skale i zrozumiał, że to, co brał za jeszcze jeden poranny cień, tak naprawdę było jaskinią. Żołnierz stojący bezpośrednio za nim wymamrotał:

– To miejsce jest stworzone na śmiertelną zasadzkę.

Jakub zwrócił twarz w górę ku Albanowi i rzekł:

– Panie, to jest ten człowiek, o którym ci mówiłem.

Alban gestem powitał pasterza.

– Jak cię zwą?

– Samuel, syn Izmaela. A ciebie?

– Jestem Alban.

- Czy to rzymskie imię?
- Nie. Pochodzę z Galii.
- Nie znam tej krainy.
- Jest daleko na północnym zachodzie, poza granicami Rzymu.
- Ale walczysz dla Rzymu.
- Od trzech pokoleń jesteśmy rzymską prowincją.

Pasterz skrzywił się z pogardą dla wszelkich podbitych ludów. Alban uśmiechnął się ukradkiem. Ten człowiek był odziany w nędzne ubranie i kurz, lecz nosił się niczym księżę. Tę cechę Alban dostrzegł już wśród wielu Judejczyków mieszkających z dala od miast. I była to jedna z rzeczy, którymi Rzymianie najbardziej pogardzali. Jak ci nieokrzesani wieśniacy śmieli afiszować się ze swoją niepodległością przed imperium, które podbiło niemal cały znany dotychczas świat!

Na czarnej brodzie pasterza o twardej, ciemnej skórze i szerokich barkach zaczynały przeświecać pierwsze pasemka srebrzystej siwizny.

- Partyjscy bandyci kradną mi owce.
- W takim razie mamy wspólnego wroga.

Alban obserwował, jak Samuel dokonuje oględzin rzymskiego oddziału. Jego wzrok zatrzymał się dłużej na ręce Jakuba spoczywającej spokojnie na strzemieniu Albana. Ludzie Albana stali w bezruchu tak jak ich dowódca. Pasterz najwyraźniej odnalazł to, czego szukał, bo powiedział:

- Zostawcie konie tutaj.
- Stojący z tyłu Horaks sprzeciwił się ochrypniętym głosem:
- Ale ten wąż donikąd nie prowadzi!
- Ciemne oczy pasterza zaślniły humorem:
- Tak samo jak na tej skalnej półce był tylko cień, czyż nie?
- Alban dał znak podniesioną ręką, po czym zsunął się z siodła.

– Chłopcze, trzymaj się blisko mnie – powiedział do Jakuba.

Pasterz powiodł ich dalej w głąb szczeliny. Wąwóz wił się długo, aż w końcu rozgałęził się na trzy części. Wiatr nie miał tam dostępu, a słońce dochodziło jedynie przez kilka chwil w ciągu dnia, więc kamienne ściany pozostawały chłodne. Mimo to Alban pocił się obficie. To był świetny teren na zasadzkę. Kamienie lub strzały wypuszczone z góry nie pozostawią nikogo przy życiu. Pasterz bez wahania skręcił w prawą szczelinę, tak wąską, że mężczyźni musieli iść pojedynczo.

Sto kroków dalej szczelina otwierała się, tworząc jakby płytką misę. Piaszczyste podłoże miało czerwoną barwę zachodzącego słońca i Alban czuł pod sandałami, że wciąż jest ono chłodne. Nie było tu życia. Nic tu nie rosło. Wysoko nad głowami hulał poranny wiatr.

– Jak dotąd tylko do tego miejsca zapuścił się jakikolwiek człowiek z zewnątrz – rzekł pasterz i wskazał na Jakuba. – On mówi, że można ci zaufać. Ale to twój niewolnik i mógłbyś go zmusić, żeby powiedział, cokolwiek zechcesz.

– Pytałeś o mnie na rynkach?

Pasterz odparł niechętnie:

– Moja żona pytała.

– Co jej powiedziano?

– Że jesteś przyjacielem Judejczyków – ton pasterza sugerował, że bardzo trudno mu w to uwierzyć.

– I obiecano ci nagrodę, jeśli znajdziemy Partów, tak?

Alban bacznie obserwował twarz pasterza.

– Pięć denarów.

– To już niewielka fortuna. Horaks!

– Tak, panie?

– Zapłać mu.

Adiutant Albana przeszedł między żołnierzami zebranymi wokół pasterza. Spojrzał na Albana, jakby chciał z nim dyskutować, ale ten dał znak ręką, aby zamilkł. Gdy monety spoczęły w powykręcanej dłoni Samuela, Alban powiedział:

– Teraz musimy sobie ufać.

Samuel włożył pieniądze do skórzanej sakiewki, odwrócił się i ruszył w kierunku niepozornie wyglądającej ściany. Przypatrując się jej z bliska Alban zauważył, że ze ściany wystają wąskie półki skalne, które wcześniej skrywał cień i pastelowy kolor skał. Jedno skinienie i oddział ruszył za swym dowódcą.

Ich wspinaczka nie zakończyła się, jak Alban wcześniej przypuszczał, na równinie Golan. Mężczyźni zebrali się na szerokiej skalnej półce, niewidoczni dla człowieka podążającego doliną. Oglądana z dołu, półka łączyła się z sąsiednimi krawędziami skalnymi. Było to idealne koczowisko dla ludzi chcących ukryć swą obecność.

Samuel ruszył w poprzek szerokiej skały w kierunku innej półki skalnej wyrzeźbionej w klifie, lecz ta ścieżka prowadziła delikatnie w dół. Gdy przechodzili przez łagodny zakręt, Alban usłyszał beczenie owiec. Kolejny zakręt, kilka stopni w dół i znaleźli się w jeszcze bardziej wyizolowanym świecie.

Samuel odezwał się po raz pierwszy, odkąd otrzymał pieniądze od Albana:

– To miejsce schronienia mojego klanu od niezliczonych pokoleń.

Spojrzał twardo na mężczyznę, któremu zaufał jedynie na słowo młodego chłopaka. Alban odważnie odwzajemnił jego spojrzenie.

– Twoja tajemnica nie pojawi się w żadnym moim raporcie, ani na mapie.

A była to rzeczywiście tajemnica. Alban słyszał pogłoski o takich miejscach, lecz do tej pory nie wierzył, że naprawdę istnieją.

Stali w małej dolinie, czy raczej w niewielkiej depresji pomiędzy dwoma wzgórzami, szerokiej na jakieś pięćdziesiąt kroków i dwa razy dłuższej. Zamiast chłodnego piasku, pokryta była trawą. Stado owiec o czarnych pyskach pasło się w bujnych zaroślach. Ze środka ściany wychodzącej na południe wypływał mały strumyk. Wody było wystarczająco dużo, by sącząc się po skale utworzyła na dole niewielką sadzawkę. Naprzeciw klifu rósł gaj niskich palm daktylowych.

Młody chłopak pilnujący owiec obserwował ich uważnie, ale nie próbował do nich podchodzić. Ludzie Albana wyjęli chleb oraz ser kozi i zjedli śniadanie. Po jakimś czasie Horaks podszedł i kucnął obok Albana.

– Jestem zdumiony, że ten pasterz powierzył nam swoją tajemnicę.

– Zgaduję, że Partowie zauważyli jego stado, kiedy pasło się na wyżynie. Zażądali owiec, tropili pasterza, a teraz grożą, że zabiorą im wszystko. Z nami przynajmniej ma jakieś szanse.

Alban spostrzegł Samuela na krawędzi klifu i wstał.

– Właśnie idzie.

Pasterz dał im sygnał i zniknął. Alban i jego ludzie znów zaczęli wspinać się skalistą ścieżką.

Na szczycie powitało ich piękne, obfite źródło. Wiatr był wystarczająco silny, by ochłodzić narastający upał; mierzwił wysoką do kolan trawę, która wciąż pachniała deszczem. Drugie stado owiec pasło się z zadowoleniem. Alban wiedział, że w ciągu miesiąca trawa zwiędnie i uschnie, a owce będą musiały jeść ciernie.

Alban zwrócił się do swojego sługi:

– Poczekaj tu na nas.

Od czasu swojej choroby sprzed dwóch lat Jakub nie wyglądał na tak roztrzęsionego i bezbronного. Wyprostował się, by wyglądać na tak wysokiego, jak to tylko możliwe.

– Panie, ja mogę pomóc.

– Już pomogłeś. Daję ci moje słowo, że twoja rodzina zostanie pomszczona. Partowie zapłacą za śmierć twoich rodziców i siostry.

Jakub nie odpowiedział, tylko przez dłuższą chwilę patrzył na Albana, po czym odwrócił się i odszedł.

Pasterz również obserwował, jak przygnębiony chłopak dołącza do jego syna, który pasł owce. Jakub podniósł po drodze patyk i sfrustrowany grzmotnął nim w trawę.

– Ma jakieś osobiste powody, by nienawidzić bandytów?

– Jego rodzina prowadziła karawanę między Cezareą a Damaszkiem – powiedział Alban – Miał wtedy dziewięć lat. Na jego oczach zostali zamordowani, a on i inni młodzi chłopcy zostali wzięci jako niewolnicy. Zauważyliśmy rabusiów i puściliśmy się za nimi w pościg. Zdołali uciec tylko dzięki temu, że porzucili zrabowane dobra, z Jakubem włącznie.

Pasterz z wydętymi ustami obserwował obu chłopców.

– Partowie grożą tym samym i nam.

Alban jeszcze ciaśniej dopiął pas, do którego miał przymocowany miecz.

– Nie po dzisiejszym dniu.

\*\*\*

Górskie pastwisko było ze wszystkich stron otoczone stromymi skałami. Alban rozkazał żołnierzom, by zeszli niżej, pełzając na brzuchach. Wkrótce oba oddziały liczące po dwudziestu pięciu mężczyzn przesuwały się w wysokiej trawie pomiędzy pagórkami. Pasterz odsuwał laską stojące im na drodze zwierzęta i ostrożnie, w kucki, prowadził Albana w stronę południowo-zachodniej ściany.

Od strony stromo opadającego zbocza, pokrytego kamieniami, trawami i skarłowaciałymi krzewami, w kierunku południowych równin rozciągał się zapierający dech w piersiach widok. Widniejąca w oddali droga do Damaszku stanowiła wijącą się, żółtą rzekę pyłu.

Pasterz wskazał laską.

– Tam i tam.

Alban skinął głową i wymamrotał przez ramię:

– Horaks. Widzisz?

– Tak, widzę ich.

Dwie grupy, każda licząca co najmniej pięćdziesięciu mężczyzn, kłębiły się poniżej na skalnych półkach wystających nad główną drogą z zasłanego rumowiskiem zbocza. Daleko na południowym wschodzie, gdzie gorąco sprawiało, że powietrze kipiało i drżało, widoczna była długa, wijąca się wstęga ludzi i zwierząt. Zbliżała się oczekiwana karawana kupiecka.

– Gdzie są ścieżki? – spytał cicho Alban.

– Spójrz w lewo i w prawo. Zauważ, jak cień w każdym z tych miejsc tworzy linię od zbocza skały do dna doliny.

Alban cofnął się o krok, uświadamiając sobie, że wystarczy, iż choć jeden z bandytów spojrzy w górę, a ich obecność zostanie odkryta, co zniweczy element zaskoczenia. Położył się na plecach otoczony przez słodko pachnące trawy i zamknął oczy, by nie raziło go słońce.

– Mam pytanie – odezwał się Alban. – Jak zejść niezauważenie?

Ani Samuel, ani Horaks nie odpowiedzieli. Adiutant Albana leżał obok niego na trawie, obserwując teren.

Alban przewrócił się na brzuch i ostrożnie zsunął się do przodu, by spojrzeć jeszcze raz. Poniżej bandyci trwali już w gotowości, obserwując, czy nie ma jakiegoś zwiadowcy, który mógłby podnieść alarm, zanim karawana się zbliży.



Alban uświadomił sobie, że pięćdziesięciu rzymskich żołnierzy zbiegających z równiny położonej nad napastnikami narobi takiego hałasu, iż równie dobrze mogliby zacząć grać na trąbach i cymbałach. Co gorsza, będą atakowali z jednego miejsca, a mają przeciw sobie doświadczonych wojowników, rozlokowanych na dwóch półkach skalnych. Jeśli nie znajdzie sposobu, by przemieścić się w absolutnej ciszy, jego ludzie zostaną zdziesiątkowani.

Pasterz wycofał się ze skraju skały i zamiótł laską dookoła siebie niczym kosą.

– Bandyci zobaczyli, jak sprowadzamy owce na dół, żeby je sprzedać karawanie, którą później napadli. Tropili nas, gdy wracaliśmy w górę i zażądali podatku. W owcach, albo... w chłopcach. Za każdym razem chcą więcej. Wczorajszej nocy zabrali połowę moich nowo narodzonych jagniąt.

W głowie Albana zaczął się tworzyć plan. Jeszcze raz zsunął się do przodu na brzuchu i wystawił głowę poza urwisko. Trzecie oględziny potwierdziły coś, co mu się wydawało, że zauważył już wcześniej. Wycofał się znad przepaści, po czym powiedział do Horaksa:

– Zbierz ludzi.

Gdy Horaks wycofywał się w kucki, Alban odezwał się do pasterza:

– Dalej już nie musisz iść.

– To pastwisko należy do mojego klanu.

Widać było, jak nieprzeciętna jest judejska duma przepełniająca Samuela.

– I tak zostanie. A teraz pozwól, że ja i moi ludzie zrobimy to, do czego jesteśmy wyszkoleni.

– Walczę z różnymi rozbójnikami dłużej, niż ty żyjesz.

– Pomyśl o swoich synach – powiedział Alban ścisząc głos.

Ponad połowa żołnierzy Albana była od niego starsza. Cztery lata temu powitali go jako swego przywódcę z nadąsaniem i wrogością. Teraz patrzyli na niego bez takich emocji, jak prawdziwi wojownicy. Ufali jego zdolnościom przywódczym i pozwalali, by wprowadzał ich w niebezpieczne sytuacje oraz z nich wyprowadzał. Wiedzieli, że Alban od dzieciństwa był szkolony do takiej roli. Owszem, był synem wodza, ale jak dotąd nie przeżył dnia, w którym miałby możliwość wybrać inne życie. Choć to, prawdę powiedziawszy, było czynnikiem, który najbardziej wiązał go z jego ludźmi, i ich z nim. Wybór swojego losu był przywilejem bogatych i pierworodnych.

Alban narysował mieczem na kamienistej ziemi granicę klifu i dwie ścieżki, następnie podniósł głowę i zwrócił się do zebranych przed nim ludzi:

– Podzielimy się na trzy grupy. Ja dowodzę grupą na ścieżce wschodniej. Horaks, ty bierzesz zachodnią.

Wszyscy jak jeden mąż się skrzywili. Znali tylko jeden sposób prowadzenia bitew: rzymski. Zwycięstwo osiąga się zmasowanym atakiem. Najlepiej wyszkoleni ludzie i najliczniejsze wojska wystawiane są z przodu jako druzgocąca wszystko siła.

Alban wskazał mieczem na najstarszego rangą ze swoich ludzi i powiedział:

- Ty dowodzisz trzecią grupą, na górze.
- Nie będziemy walczyć?
- Postaracie się, żebyśmy wszyscy przeżyli – dźgnął mieczem ziemię w miejscu, gdzie narysował krawędź klifu. – Musicie przeczołgać się między skałami w dół tak, żeby was nie zauważyli. Na mój sygnał zaczniecie zwałać największe kamienie, jakie zdołacie.
- Lawina – powiedział Horaks badawczo.
- Celujcie w te dwie grupy mężczyzn. Dajcie im tak popalić, żeby nie mieli możliwości ani atakować, ani uciekać.

Horaks wyszczerzył zęby w uśmiechu:

– To się może udać.

– Jak wam zabraknie kamieni, weźcie strzały. Bandyci muszą być pod stałym ostrzałem. Gdy już zajmiemy pozycje, dołączcie do nas na obu skrzydłach – Alban schował miecz do pochwy i wstał. Bardzo chciał wyruszyć, zanim któryś z jego bardziej doświadczonych wojowników zauważy bijącą po oczach słabość jego planu.

– Ruszamy.

Podczas gdy trzy grupy czołgały się w stronę urwiska, Horaks kucnął obok swojego setnika.

– Dzieląc się na trzy grupy, będziemy mieli znacznie mniej ludzi niż oni. Jeśli zauważą tych rzucających kamienie zanim oni zdążą zająć pozycje, to znaczy, że podrepczemy tam na dół na pewną śmierć.

Właśnie dlatego Alban wyznaczył starszych mężczyzn do rzućania kamieni.

– Cicho jak węże – syknął.

Poruszając się jak krab, Alban poprowadził swoją grupę nad wschodnią krawędź zbocza, zsuwając się do miejsca, skąd mógł wyrzucić w dół. Zobaczył, jak dwieście kroków na zachód od niego pojawia się twarz Horaksa. Pomiędzy nimi, skradając się ostrożnie, zsuwała się ze skał trzecia grupa. Ich celem była kupa luźno leżących kamieni, ułożona na skale nad bandytami. Posuwali się strasznie wolno. Tak przynajmniej wydawało się Albanowi.

Jak wszyscy dobrzy oficerowie, Alban nauczył się ukrywać strach. Ale teraz śniadanie ciążyło mu w żołądku niczym gruda ołowiu. Tak wiele zależało od sukcesu tego przedsięwzięcia, a tyle było niewiadomych! Trudno mu było skoncentrować się na zadaniu. Nie mógł jednak pozwolić, by cokolwiek rozpraszało żołnierzy, pasterza, czy jego samego.

Odgłosy karawany niosły się w pustynnym upale. Słysząc było dzwonięcie uprzęży, krzyki pasterzy i donośne protesty osłów. Każdy hałas był im jak najbardziej na rękę; skupiał uwagę bandytów na tym, co działo się w dole i zagłuszał przemierzających się ponad nimi żołnierzy.

W tym momencie złe zamiary Partów zostały odsłonięte.

Z południa rozległy się przeraźliwe okrzyki. Dwa tuziny wojowników z wrzaskiem wyjechały na koniach i wielbłędach z przeciwnej strony doliny. Dla człowieka poruszającego się drogą do Damaszku ich dokładna liczba nie była możliwa do określenia, bo kurz i upał zasłaniały wszystkich poza bandytami jadącymi na czele grupy.

Zwiadowcy karawany wyćwiczonym manewrem zawrócili ku jej środkowi. Zebrali się blisko siebie i wyciągnęli miecze, przygotowując się na pierwsze starcie. W tym czasie poganiacze bydła i kupcy zawrócili zwierzęta i skierowali się do najbliższych skał, prosto w ręce ukrytych tam bandytów.

W tym momencie jeden z ludzi Albana się potknął.

Rzymskie sandały nie były przystosowane do cichego zsuwania się po skale, więc kilka kamieni zaczęło zjeżdżać w dół. Alban w nieruchomym przerażeniu obserwował, jak Partowie jeden za drugim spoglądają w górę, a ich brodate twarze otwierają się do ostrzegawczego krzyku.

Lecz on był już na nogach:

– TERAŻ!

Jego ludzie rzucili się naprzód jak jedna wyjąca, wielogłowa bestia. Setka nóg zadudniła na skalistym zboczu. Miecze i dzidy wyrosły ku górze niczym nierówne zęby.

Żołnierze w środkowej grupie zrzucili na dół kamienie, które potoczyły się jeden obok drugiego. Dwa wielkie stosy kamieni

zwaliły się na drugą grupę bandytów, podczas gdy oddział Albana rozpaczliwie łapał się skał, by nie spaść w dół. Ich ciężar obluzywał kamienie nad nimi i groziło, że spadną w przepaść.

Partowie zostali zaskoczeni w chwili, gdy mieli zbiec na dół i zaatakować karawanę. Gdy pierwsi rzucili się w dół, stojący za nimi wydali ostrzegawczy okrzyk i odwrócili się w kierunku spadających kamieni oraz zbiegających ku nim Rzymian.

– Trzymać się mocno! – Alban rzucił się na zbocze skalne, a z góry posypało się jeszcze więcej kamieni. Jeden z nich uderzył go w rękę, którą się osłaniał, niemal zwalając go w dół. Gdy tylko kamienie przestały spadać, Alban zaryzykował podniesienie głowy, by spojrzeć w górę, po czym krzyknął:

– Do ataku!

Tak jak przypuszczał, półka skalna, na której wcześniej ukrywali się bandyci, została wbita w płytką jaskinię, a bandyci zostali z niej zmiecenii. Uciekli w dół ścieżką, ścigani przez żołnierzy, lub też schronili się w jaskini. W dole wrzała bitwa. Alban słyszał dźwięki włóczyń uderzających o włócznie. Wiedział, że Horaks jest z przodu i ufał, że jego adiutant poprowadzi ludzi do walki. Sam skupił raczej uwagę na wejściu do jaskini, wypełnionym teraz do połowy kamieniami i szamoczącymi się w nim bandytami. Kasłali i charczeli, próbując przedostać się przez gruz i pył.

– Łucznicy!

Tradycyjny rzymski zmasowany atak na tak ciasnej przestrzeni był po prostu niemożliwy. Jedna czwarta ludzi Albana założyła krótsze strzały i wystrzeliła w stronę wejścia do jaskini. Okrzyki wściekłości prędko zmieniły się we wrzaski bólu i paniki.

Alban wyznaczył kilku mężczyzn do powstrzymania bandytów, którzy próbowaliby wrócić na ścieżkę. Reszta została przy jaskini.

– Wstrzymać ostrzał! – zasygnalizował łucznikom.

Zawołał po aramejsku, w języku używanym przez wszystkie narody na wschodniej granicy:

– To wasza jedyna szansa! Rzućcie broń, a będziecie oszczędzeni!

W dole, na równinie, sytuacja gwałtownie zmieniła się na korzyść karawany. Kupcy, zaalarmowani przez zsuwające się kamienie, zauważyli bandytów zanim przygnali bydło do zbocza góry. Ścieśnili się, formując mocny szyk obronny. Bandyci na koniach, widząc, że ich towarzysze na górze zostali schwytani w pułapkę, gwałtownie się zatrzymali. Zwiadowcy karawany ruszyli naprzód, a broń zaśniła w słońcu nad ich głowami. Partowie zawrócili konie i zaczęli uciekać.

Alban nie miał czasu obserwować, co się dzieje na dole. Całą uwagę musiał skupić na jaskini i kłębiących się tam ludziach.

– Jesteście na straconej pozycji! – zakomunikował donośnym głosem. – Rzućcie broń albo zginiecie!

Tuzin dzid i mieczy zabrzączał, lądując na skale u jego stóp. Alban dał znak swoim ludziom, by podeszli. – Łucznicy, zostańcie w swoich pozycjach! – zakomenderował.

Odwrócił się do Horaksa, który zbierał i liczył ludzi.

– Ilu naszych zginęło?

– Jeden ranny, żadnych zabitych, panie.

Alban poczuł, jak napięcie opuszcza całe jego ciało; poczuł też wysychający na nim pot.

Z doliny rozległy się głośnie wiwaty, a Horaks podniósł miecz i wykrzyknął:

– Żołnierze, zasalutujcie swemu setnikowi!



## ROZDZIAŁ PIĄTY

*Pałac Piłata, Cezarea.*

Tego ranka, po powrocie pani z Jerozolimy, Lea weszła do sypialni Proculi i odkryła, że ta już wstała i siedzi na łóżku. Szybko przygotowała perfumowaną wodę do kąpieli i wyjęła świeże szaty.

– Wyglądasz lepiej, pani.

– A jakąż to dla mnie ulga – Procula potarła czoło dłonią. Wciąż była blada, a oczy miała zapadnięte od przecierpianego bólu, ale jej głos brzmiał raźnie. – Chciałabym widzieć się z mężem. Czy jest w domu?

– Tak, ale w tej chwili ma gościa.

Procula podniosła głowę.

– Kogo przyjmuje o tak wczesnej godzinie?

– Zdaje się, że to sprawa wagi państwowej, pani. Zaraz po śniadaniu przyjechał Herod Antypas.

Procula gwałtownie usiadła.

– Herod? Tutaj? Ale dlaczego?

– Nie wiem, pani.

Procula ukryła twarz w dłoniach. Lea zaczęła się obawiać, że to może zapowiadać kolejny atak bólu.

– Pani?

– To nie może oznaczać nic dobrego – Procula opuściła ręce i przyjrzała się Lei z zatroskanym wyrazem twarzy. – Idź, posłuchaj, co mówią i potem zdam mi relację.

– Ale nie mam powodu, żeby tam wchodzić i im przeszkadzać.

– Niech mój rozkaz będzie twoim powodem.

– Ale pod jakim pretekstem mam tam wejść?

Procula znów potarła czoło. Gdy spojrzała w górę, Lea już wiedziała, że jej pani ma plan. W duchu modliła się do wszelkich bogów, znanych i nieznanym, żeby ten plan miał choćby nikłą nadzieję powodzenia. Jeśli Piłat wyczuje, że jest szpiegowany, jej życie znajdzie się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, nieważnie, czy jest jego bratanicą, czy nie. Fakt, że wykonuje jedynie rozkaz jego żony, wcale jej nie ochroni.

– Pójdiesz im służyć. Powiedz, że kazałam ci przynieść im wino. Dla Heroda żadna godzina nie jest na to zbyt wczesna.

– Ale Piłat ma służącego, który podaje wino.

– Pozdrów Heroda w moim imieniu i powiedz, że ja tak nakazałam. Jeśli zabrzmi to niewłaściwie, mąż stwierdzi, że to przez moją chorobę. I zostań tam — mówiła dalej. – Zostań w alkowie za zasłoną, aż zorientujesz się, o czym mówią.

Lea ukloniła się i odwróciła, cała drżąc. Jej pani kolejny raz potarła czoło.

– Kłopoty. Kłopoty. Niekończące się kłopoty – Lea usłyszała jej mamrotanie.

\*\*\*



Lea przesunęła w dłoniach tacę i wstrzymała oddech. Stała za szkarłatną zasłoną zakrywającą wejście do komnat Piłata. Wszystkie pałacowe komnaty służące do celów oficjalnych miały okna z widokiem na morze, a o tak wczesnej porze przeciąg był znacznie chłodniejszy. Lea postawiła tacę na stole obok wejścia. Nieznacznym ruchem dłoni udało jej się trochę rozchylić ciężką zasłonę i zobaczyć obu mężczyzn. Żaden nawet nie zerknął w jej kierunku. Piłat chodził po komnacie, a Herod spoczywał na jednym z aksamitnych szezlongów.

Właśnie wziął ze złotej tacy śliwkę i przyglądał się jej od niechcienia.

– Co sądzisz o tych pogłoskach?

Piłat nadal chodził w tę i z powrotem.

– Nie wiem.

– Wolałbym, żebyś jednak usiadł. Strasznie trudno się rozmawia z kimś, kto cały czas się rusza.

Piłat opadł na krzesło. Z ukrycia wydawało się Lei, że jego oczy są pociemniałe i udręczone.

– Szczerze powiedziawszy – rzekł Herod – wyglądasz upiornie. Jesteś chory?

Piłat potarł twarz ręką.

– Nie spałem dziś w nocy.

– Więc jednak cię to trapi?

Przez chwilę nie było odpowiedzi. Potem minimalnym skinieniem głowy Piłat przyznał:

– To i Procula. Jej zdrowie jest zagrożone i to właśnie przez to samo niebezpieczeństwo.

– To ty dowodzisz. Jeśli sprawy wymykają się spod kontroli, masz władzę, żeby naprawić sytuację.

– Prawda, ale pod warunkiem, że wiem, z kim walczę – Piłat znowu wstał i podszedł do okna. – Teraz nie wiem, co jest tym niebezpieczeństwem, więc jak mam w nie uderzyć?

– Niebezpieczeństwo stanowią fanatycy, którzy twierdzą, że syn tego cieśli jest ich Mesjaszem i wymyślają te wszystkie nie stworzone opowieści, żeby to uwiarygodnić – Herod pochylił się do przodu, aż z jego szat wypadło kilka winogron i poturlało się po wzorzystych kafelkach u jego stóp. – Oni chcą nas zniszczyć. Jeśli uda im się doprowadzić do buntu, obaj będziemy w tarapatkach.

– A skąd to wiesz? – ton Piłata był ostry jak sztylet przypasany do jego boku.

– Bo oni tak działają. Zawsze sprawiają kłopoty. Nie ma sensu...

– Więc nie masz dowodów? To tylko domniemanie? – nie doczekawszy się odpowiedzi Heroda, Piłat odwrócił się do okna. – Moje noce są pełne udręki i zmartwień – kontynuował. – Musimy się dowiedzieć, co oni planują. Ale nie znalazłem nikogo, kto byłby skłonny ze mną pomówić. Z tobą, jak przypuszczam, też nie, i stąd ta nasza rozmowa.

– Musimy się jakoś dostać do ich kręgu.

– Znaczą, zinfiltrować ich szeregi.

– Wejść do ich społeczności. Tak. Potrzebujemy szpiega – Herod przez długą chwilę patrzył na rozmówcę. – Z pewnością możesz, panie, rozwiązać ten problem. Wystarczy złoto. Zawsze znajdzie się mnóstwo wieśniaków, którzy zrobią wszystko za określoną cenę.

– Potrzebujemy prawdy, a nie kolejnych bajek za łapówkę.

– To jakie proponujesz rozwiązanie?

Piłat znów zaczął chodzić po komnacie.

– Jest taki setnik, o imieniu Alban, który podobno ma znajomości w społeczności judejskiej w pobliżu Kafarnaum.

– Zaufałbyś rzymskiemu żołnierzowi z Galilei, że powie ci prawdę?

Nawet ze swojego ukrycia Lea odczuła wiszące w pomieszczeniu napięcie. Złapała się ręką za pierś, ocierając nią o zasłonę. Ciche drgnięcie materiału spowodowało, że obie pary oczu skierowały się w jej stronę. Oddech uwiązł jej w gardle, lecz szybko chwyciła tacę i weszła pomiędzy poły zasłony. Przystanęła na chwilę, ukloniła się lekko, następnie podeszła cicho.

– Twoja żona przesyła pozdrowienia dla twego gościa, panie – odezwała się. – Kazała mi przynieść wam wino.

Lea postawiła tacę na małym marmurowym stoliku obok talerza z ciastkami z miodem.

– Czy... czy mam nalać, panie?

– Nalej mi, dziewczyno. Ja się napiję – głos Heroda był równie apatyczny jak jego oczy. Obserwował ją z niekłamany zainterесowaniem, gdy napełniała jego puchar winem.

Opuściła komnatę tak samo cicho jak przyszła. Czuła na plecach odprowadzający ją wzrok Heroda.

Znalazłszy się już za zasłoną, Lea poczuła dreszcz wibrujący wzdłuż całego ciała. Tak bardzo chciała stamtąd uciec. Zostawić za sobą te wszystkie okropne interesy, cały ten strach, niepewność i gorycz. Znów cicho odstawiła tacę na marmurowy stół. Nie miała odwagi odchylić zasłony, lecz nasłuchiwała uważnie.

Usłyszała jak Herod pyta:

– Co to za dziewczyna?

– Ma na imię Lea.

– Oczywiście. Twoja bratanica. Jak długo mieszka u ciebie?

– Nie pamiętam dokładnie. Chyba trzy lata. Dopóki nie znajdzie odpowiedniego męża, jest służącą mojej żony.

– Zatem nie planujesz jej zatrzymać?

– Nie. To byłoby nieodpowiednie – ona jest rodziną. Obiecałem jej matce...

- Sprzedałbyś mi ją?
- To moja *rodzina* – odparł poirytowany Piłat. – Jest u nas, dopóki nie wyjdzie za mąż. W każdym razie, ktoś już o nią u mnie zabiega.
- Kto?
- Setnik, o którym ci wcześniej wspomniałem.
- Lea słyszała, jak Herod zmienia pozycję.
- Ten, który, jak powiedziałeś, może nam się przydać?
- Alban jest młody, ale ludzie, których o niego wypytywałem, mówią o nim bardzo pochlebnie. Bez wątpienia postrzega rękę mojej bratanicy jako drogę do społecznego awansu.
- Lea usłyszała skrzypnięcie kanapy, gdy Herod pochylał się do przodu.
- A twoja bratanica? Jak się u ciebie znalazła?
- Lea poczuła, że jej twarz oblewa rumieniec spowodowany zarówno wstydem, jak i gniewem. Mówili o niej, jakby była częścią ruchomego majątku Piłata.
- Jej ojciec stracił wszystko. Dobre imię, tytuły, honor, życie. Kiedy jej rodzina błagała mnie o pomoc, nie miałem jak odmówić. Moja żona jest z niej zadowolona. A czemu pytasz?
- Mówisz, że ten młody setnik ją chce. Może moglibyśmy ją użyć, nazwijmy to, do zachęcenia go, aby znalazł dla nas odpowiedzi. Nie dałeś jeszcze słowa temu Albanowi?
- Wciąż jesteśmy w trakcie negocjacji.
- Alban to dziwne imię jak na Rzymianina.
- Jest Gallem.
- A dziewczyna?
- Jej ojciec pochodził z prowincji na północy. Matka była Judejką, to znaczy, ściśle mówiąc, matka jej matki.
- Lea słyszała, jak Herod wciąga powietrze.
- Może nie będziemy potrzebować aż tyle złota, ile myślałem.

Jak sam powiedziałeś, setnik Alban jest pozytywnie nastawiony do Judejczyków. I ta dziewczyna z judejską krwią... Myślę, że mamy odpowiedź na nasz dylemat.

W głosie Piłata słychać było zniecierpliwienie:

– To może mów dalej i ujawnij mi tę odpowiedź.  
– Powiedz mu, że warunkiem zaręczyn jest rozwiązanie tej tajemnicy.

– Zaręczyn?  
– Standardowa praktyka wśród Judejczyków.  
– Mamy urządzić judejski ślub? Ale nawet jeśli dziewczyna może powiedzieć, że ma judejską krew, to on jest Gallem, a nie Judejczykiem.

Lea starała się jak mogła, by nie wydać z siebie okrzyku i nie zdradzić swojej obecności. *Judejski ślub?* Zakryła dłonią trzęsące się usta. Pod względem religijnym była taką samą Judejką jak ten Gall. A już na pewno nie chciała jakiegokolwiek ślubu.

– Będziemy musieli dać któremuś z judejskich kapłanów nieco złota na zachętę. Ale mówisz, że ten setnik ma przyjaciół w Galilei. Tak, to by się dało załatwić.

– A ten judejski ślub, który zaproponowałeś... Jak to w ogóle wygląda?

– Dość prosto. Najpierw są zaręczyny. Jak już się ustali wszelkie warunki, odbywa się ceremonia, mająca charakter tradycyjny i raczej wiążący prawnie. Prezentuje się pannę młodą narzeczonemu, a po ceremonii ona wraca do miejsca swego zamieszkania do czasu, gdy pan młody spełni warunki. Gdy to zrobi, może przyjść i zabrać żonę do siebie.

– Zatem ma żonę, ale jej nie ma.  
– Dokładnie.  
– Nie sądzę, żeby Gall na to poszedł.

Kanapa znów zaskrzypiała, gdy Herod poruszył się na niej.

– No to go przekonaj. *Potrzebujemy* judejskiego ślubu. Tylko w ten sposób mamy pewność, że Gall zdobędzie dla nas informacje. Jeśli naprawdę chce uzyskać awans społeczny, który może mu zapewnić ta dziewczyna, zrobi, co będzie trzeba.

– Być może. Może masz rację.

– Musisz natychmiast po niego posłać.

Stopy Piłata zaszurały po kafelkach.

– Już to zrobiłem.

Lea nie była w stanie znieść dalszego ciągu tej rozmowy. Miała wystarczająco informacji, by zadowolić swoją panią. Po cichu wycofała się od wejścia i z odrętwiałymi stopami przeszła przez korytarz dla służby. Nie weszła do kuchni. Potrzebowała zaczerpnąć świeżego powietrza i mieć czas do namysłu. Czas na to, jak powiedziała Dorit, żeby planować.



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

### *Garnizon w Kafarnaum.*

Pokryty kurzem oddział dotarł do garnizonu w chłodnym świetle księżyca. Alban dostosował tempo poruszania się do możliwości rannych jeńców, choć wystawiało to konwój na potencjalne ataki. Rozciągnął swoich ludzi na flankach jako strażę, podczas gdy on sam i Horaks krążyli konno, sprawdzając oba krańce pochodu. Alban nie zdawał sobie sprawy z własnego zmęczenia, dopóki nie zobaczył z oddali fortu, do którego wracali. Wierzchołek wzgórza żarzył się od ognisk strażników. Alban zlecił Horaksowi wprowadzenie korpusu z zakutymi w łańcuchy Partami przez umocnione fortyfikacje bramy. Sam pozostał z tyłu do momentu, aż ostatni żołnierz wszedł bezpiecznie do środka i upewnił się, że nie ma żadnej zasadzki.

Alban wjeżdżał jako ostatni; towarzyszyły mu wiwaty całego garnizonu. Jego ludzie mieli solidne powody do świętowania. Właściciele karawany nagrodzili ich pracą dwoma workami pełnymi złota. Garnizon nie dostawał żołdu od ponad dwóch miesięcy, co

stanowiło dość powszechny problem na odległych placówkach, Alban zaś potrzebował tych pieniędzy równie rozpaczliwie, jak każdy z jego ludzi. Został prawie bez grosza po tym, jak dał podarunki Piłatowi i urzędnikowi jerozolimskiemu, który przedstawiał jego sprawę.

Alban wyszczerzył zęby w uśmiechu, patrząc na podskakujących z radości mężczyzn i odpowiedział na ich wiwaty wzniesioną pięścią. Rozkazał nocnemu strażnikowi, by zaprowadził pojmanych bandytów do pustej jaskini. W tym momencie zauważył jakichś obcych.

Podeszli do konia Albana, a dowodzący nimi zasalutował.

– Ty jesteś setnik Alban?

– Tak.

Żołnierz wyglądał imponująco. Miał nawoskowane włosy, a na mundurze wyszyte złote ornamenty. Wskazał na jaskinię.

– To są ci Partowie, o których większość ludzi mówi, że nie istnieją?

– W rzeczy samej.

– Ilu ludzi straciłeś w bitwie?

– Ani jednego.

Żołnierz zwracał się do niego po łacinie, na co Alban odpowiadał w tym samym języku. Ale nawet tych kilka słów w jego ustach wydało mu się dziwne, obce. Nie używał łaciny od miesięcy. I wątpił, by którykolwiek z jego ludzi znał więcej niż kilka słów w ojczystym języku Rzymian.

– Setniku, należą ci się gratulacje. Twój poprzednik w starciach z niewidzialnymi przeciwnikami stracił jedną czwartą wojska – oficer przerwał na chwilę, po czym dodał: – Piłat wydał rozkaz, byś natychmiast się do niego zgłosił.

Alban zsunął się z konia i zmęczonym ruchem wytarł kurz z twarzy.



- Podał powód?
  - Powiedział tylko, że sprawa jest pilna.
  - Zatem wyruszamy o brzasku.
  - Setniku, mamy rozkaz...
  - Weźmiemy ze sobą dwóch dowódców partyjskich, żeby Piłat sam mógł ich zobaczyć – Alban wskazał w ciemności za główną bramą garnizonu. – Banda około trzydziestu łotrzyków uciekła nam konno. Chcesz się narażać na niebezpieczeństwo nocnego ataku ze strony ludzi, którzy są na koniach? I w dodatku wściekli z powodu dzisiejszej upokarzającej porażki?
- Żołnierz z powątpiewaniem odparł:
- Piłat nic nie mówił o przyprowadzeniu Partów.
  - Nie dziwi mnie to, bo nikt nie wiedział o naszych planach napaści na Partów – Alban odprawił nowo przybyłych zmęczonym ruchem ręki. – Wyruszamy o świcie.

\*\*\*

Mimo zmęczenia Alban nie spał dobrze. Nie rozumiał, dlaczego Piłat uznał za konieczne wysłać oficera ze swojej osobistej straży, by go wezwał i towarzyszył mu do Cezarei. Godzinami przekręcał się z boku na bok, szukając powodów do nadziei, że to oznacza dobre wieści, ale nie wpadł na nic, co by go uspokoiło.

Największym lękiem Albana nie była perspektywa śmierci, ran, czy bycia okrytym hańbą. Przewrzenie, które ogarniało go w najposępniejszych momentach, dotyczyło ryzyka utraty kontroli. W przeszłości niewiele z jego życia wyglądało tak, jak by chciał. Gdy miał sześć lat, ojciec kazał mu zacząć przygotowywać się do bitew. Gdy miał lat dwanaście, ojciec właściwie wygnał go z domu i kazał zamieszkać u emerytowanego setnika, gdzie był

intensywnie szkolony w sztuce walki. Wolno mu było przyjechać do domu tylko cztery razy w roku, na święta i na urodziny matki. Ojciec odwiedzał go od czasu do czasu, obserwował jego postępy we władaniu mieczem, nie dając żadnego innego znaku troski czy pochwały, jedynie swoją obecność.

Alban leżał i wpatrywał się w belki na suficie, migoczące i wijące się w świetle lampy oliwnej. Przypominał mu się ostatni raz, kiedy widział ojca. Starszy wódz przyjechał na siedemnaste urodziny Albana z podarkami i z rozkazami. Pojechali na wschód, do legionu rzymskiego stacjonującego w Awinionie. Ojciec mówił o wielkich zmianach na świecie, o szansie dla Albana na podniesienie swojego statusu i wywyższenie ich rodowego nazwiska. Dał mu małą sakiewkę ze złotem oraz zwój, w którym było napisane, że awansował na adiutanta komendanta garnizonu. Następnie zasalutował synowi i odjechał. Łzy, których Alban tamtego dnia nie uronił, wciąż paliły go pod powiekami.

W tamtym czasie Alban w ogóle nie pragnął być żołnierzem, a już na pewno nie rzymskim legionistą. Ale zrobił, jak mu kazano. Ćwiczył ciało, by rosło w siłę i pogłębiał umiejętności. Uczył się pilnie i służył swoim dowódcom. Najmądrzejszego z nich pytywał o lekcje, które przechodziło się jedynie wychodząc cało z bitwy. Wracał do domu raz do roku. Ostatnią podróż w rodzinne strony odbył na pogrzeb ojca. Gdy klęknął, przysięgając lojalność nowej głowie rodu, swemu starszemu bratu, widział w jego twarzy urazę i błysk lęku. Następnego ranka Alban dostał rozkaz udania się do Judei. Brat nie mógł go zabić, więc zadbał, by Alban spędził resztę swoich dni w najbardziej odludnym zakątku imperium rzymskiego.

Alban naciągnął koc na twarz, próbując odciąć się od gorzkich wspomnień. Nigdy w życiu nie złamał danej przysięgi. Ale jeśli

dostanie pozwolenie na podróż do domu, jego brat słono za to wszystko zapłaci.

\*\*\*

Oficer ze straży namiestnika okazał się być całkiem w porządku. Miał stopień *tesserarius*; mógł on oznaczać wiele rzeczy, ale na pewno był niższy od stopnia Albana. Jednak Alban wiedział, że Rzymianie są przewrażliwieni na swoim punkcie i potrafią być mściwi, jeśli urazi się ich dumę, dlatego potraktował oficjalnego wysłannika Piłata, jakby byli równi stopniem. Żołnierz miał na imię Linuks i pochodził z małego miasteczka w Umbrii, prowincji położonej na północ od Rzymu. Według Linuksa Umbria nadawała się jedynie do hodowli dorodnych świń i wyrobu słabego wina.

– Wydawało mi się, że już widziałem najpaskudniejsze miejsca na ziemi. Byłem, widziałem, jestem odporny na najgorsze. Ale ta prowincja okazuje się twardsza od żelaza.

Piłat na nich czekał, więc wszyscy pojechali konno. Alban mocno przywiązał partyjskich bandytów do siodeł i opuścili garnizon, zabrawszy ze sobą jeszcze tylko jednego z jego ludzi. Jakub błagał, żeby Alban wziął go ze sobą, jednak ten zdecydowanie odmówił i odwrócił się nie czekając, aż zmięknie i zmieni zdanie.

Jego drugi koń wioził ładunek zawierający dział Albana z łupu, który zdobyli w ostatniej potyczce. Dowódcy partyjscy posiadali złote tarcze, a pochwy i rękojeście ich mieczy wysadzane były klejnotami. Alban nie spotkał się jeszcze z tym, by zwierzchnik nie ucieszył się z podarunku zdobytego w bitwie.

Kilka godzin później wjechali do Samarii, mijając niewielką placówkę. Strażnik dał znak z wieży i główna brama została otwarta, by oficer stojący na warcie mógł zasalutować wysłannikom Piłata.

Linuks odpowiedział niedbałym machnięciem ręki, po czym odwrócił się do Albana:

- Całkiem nieźle władasz łaciną, jak na Galla.
- To dzięki pewnemu rzymskiemu setnikowi w stanie spoczynku, który mieszkał niedaleko ziem mojego ojca. Był surowym człowiekiem, ale świetnym wojownikiem i jeszcze lepszym nauczycielem.
- To wyjaśnia tę plebejską nutę w twoim akcencie – Linuks wyszczerzył zęby. – Bez urazy, setniku. My, Rzymianie, lubimy uliczny język. A jeńcy świadczą o twoich umiejętnościach zarówno jako wojownika, jak i dowódcy. Właściwie to sam Piłat wspomniał, że twój sojusznik w Jerozolimie stwierdził, iż będzie z ciebie prawdziwy bohater. Jak on się nazywał?
- Setnik Atticus. Stacjonuje w twierdzy Antonia.
- Ze wszech miar dobry z niego człowiek – Linuks spoważniał.
- Przeszedł swoje.
- Czy coś mu dolega?
- Tak jakby. Słyszałeś o Proroku?
- O tym Nazarejczyku, co Go zwą Jezus? Tak. Wieści dotarły do mnie wczoraj.
- Twój przyjaciel był odpowiedzialny za ukrzyżowanie. Bardzo się to odbiło na jego zdrowiu. Naprawdę. Na zdrowiu Piłata też. A już najbardziej to widać po żonie Piłata, Proculi.
- Mimo pustynnego upału Alban poczuł, że powietrze zaczyna się ochładzać.
- Żonie Piłata?
- Miała sny. Niektórzy twierdzą, że wciąż je miewa. Gorączkowe sny, tak straszne, że jej krzyki stawiają na nogi cały dom. Dlatego jedziemy do Cezarei. Piłat z całą administracją prowincji opuścił Jerozolimę osiem dni temu. Wszyscy wrócili do jego nadmorskiego pałacu.

Mijała ich właśnie karawana, co utrudniało dalszą rozmowę. W pewnym momencie dołączył do nich starszy oficer konnicy jadący z Syrii. Alban przyjął wymuszone gratulacje trybuna z powodu udanego zatrzymania bandytów, po czym wycofał się i obserwował, jak Linuks zagaduje zgryźliwego dostojnika o arystokratycznych manierach, dopóki Syryjczycy nie skręcili na północ w kierunku Tyru.

Podróż upływała im szybko. Tej nocy rozbili obóz na polach Armagedonu. Duży *caravanserai*, dom zajezdny dla karawan, stał przy połączeniu dwóch głównych dróg w tej prowincji. Tyberiada i Galilea, skąd wyruszyli rano, leżały na północy, na zachodzie zaś znajdowała się rzymska stolica, Cezarea. Na południu była Jerozolima, a dalej na północ Tyr, największy port w tym regionie i siedziba rzymskiej floty morskiej. W miejscu, gdzie się zatrzymali, ruiny dawno zapomnianego fortu sterczały w świetle zachodzącego słońca. Lokalni kupcy za ogromne sumy sprzedawali świeże owoce, chleb i paszę dla zwierząt, a ich kobiety za pieniądze tańczyły w świetle ognisk.

Rzymianie rozbili obóz w pewnej odległości od nich. Gdy zapadł zmrok, gwiazdy uformowały na niebie świecącą falę, a otaczające ich wzgórza błyszczały światłem ognisk z samarytańskich wiosek. Alban poszedł do swoich jeńców i osobiście wbił paliki z krępującymi ich łańcuchami w ziemię, po czym powiedział podoficerowi, że sam weźmie drugą wartę.

Dwóch żołnierzy, którzy podróżowali z Linuksem, zadbało o ich potrzeby. Choć nosili mundury i płaszcze rzymskich legionistów, Alban przypuszczał, że byli zaufanymi sługami. Gdy usiedli wygodnie przy ognisku, oficer powiedział, że jego rodzina kiedyś rządziła większą częścią Umbrii.

– Mój starszy brat ma czelność na to narzekać, jakby bycie najpotężniejszym człowiekiem w Umbrii było ciężarem, który nosi z troski o moje zbyt słabe barki.

– Też takich spotkałem.

– Wcześniej czy później będę zmuszony powrócić do domu. Mój brat jest zobowiązany rzucić mi kilka okruszków. Dostanę jakiś pełen przeciągów pałac z ciekącym dachem, umieszczony na jakimś samotnym klifie. A służący będą chorować na wszelkie choroby, których mój brat mi życzy – Linuks wskazał na krzątających się służących. – Niestety, obawiam się, że będą tacy jak ci dwaj.

Ten z nich, który był bliżej, przyjął to jako wyraz poczucia humoru swojego pana, oznajmiając z szerokim uśmiechem:

– Panie, kolacja gotowa.

– No to podawaj, człowieku, podawaj – Linuks potrząsnął głową i westchnął przepraszająco w kierunku Albana. – Idę o zakład, że podadzą nam piach posypany kurzem. A ty skąd pochodzisz?

– Stąd i zewsząd.

– Aaa. Aż tak źle.

– Nawet gorzej.

Linuks wziął talerz od służącego i przypatrzył się temu, co się na nim znajduje.

– Skąd żeście to wzięli?

– Pasterz samarytański sprzedał mi ten udziec barani przyprawiony rozmarynem i tymiankiem.

Linuks powąchał danie z podziwem.

– Wybacz, setniku. Kontynuuj.

– Mój ojciec był wodzem, a starszy brat to tchórz, który obawia się mojego miecza.

– I bez wątplenia słusznie. Gdybym na ciebie trafił podczas bitwy, podwinąłbym togę i zwiewał – wskazał na talerz Albana.

– Proszę, częstuj się.

Pomiędzy kęsami Alban mówił dalej:

– Życie żołnierza było pragnieniem mojego ojca. A gdy jego

funkcję jako wodza przejął mój najstarszy brat, pierwsze, co zrobił, to wysłał mnie do Judei. A jak było z tobą?

– Służba wojskowa to u mnie tradycja rodzinna. Prawdopodobnie w moim drzewie genealogicznym znajdzie się kilku generałów, ale nie wiem, takich rzeczy się nie pamięta. Brat nakazał mi kontynuować tradycję.

Alban parsknął.

– Bracia!

Linuks podniósł kielich.

– Niech na nich spadnie zaraza i wrzody.

Alban zaczął kroić mięso nożem, który trzymał za pasem.

– Czemu rzymski arystokrata podróżuje do dalekiej placówki na obrzeżach Galilei?

– Zgłosiłem się do tej służby. Była to dla mnie taka ulga, że nie muszę zostawać w Jerozolimie, iż zgłosiłbym się na ochotnika prawie wszędzie – Linuks wzdrygnął się. – Jerozolima to okropne miejsce. Zwłaszcza teraz. Miasto jest o krok od rewolucji, a Piłat wyjeżdża, bo jego żona ma złe sny.

– Nie podoba ci się to?

– Cała ta prowincja mi się nie podoba. Moim zdaniem to gniazdo żmij. A ty? Masz reputację przyjaciela Judejczyków.

– Mój region rozciąga się od Tyberiady do granic Golan, i od Galilei prawie do Tyru. A mam tylko setkę ludzi. Nie mógłbym skutecznie rządzić, nie zaprzyjaźniając się z miejscowymi i nie zdobywając sobie sojuszników.

– W tym się akurat z tobą zgadzam, nawet jeśli wielu żołnierzy ma inne zdanie. Za bardzo się boją Judejczyków, żeby się z nimi układać. Zwłaszcza teraz.

W świetle ogniska Alban widział troskę w twarzy Linuksa. Może było w nim więcej głębi, niż pierwotnie przypuszczał.

– Chodzi ci o Proroka?

– Setniku, ciesz się, że ten mały dramat cię ominął – niedbały sposób bycia Linuksa przybrał odcień powagi. – Procula uważa, że to przyniesie Piłatowi upadek, co z kolei martwi gubernatora jak nic do tej pory – to mówiąc, wrzucił resztki jedzenia do ogniska. – Sny i kobiety. Jak oliwa wlana do ognia.

– Opowiedz mi, co się stało.

Linuks siedział cicho na tyle długo, że Alban przypuszczał, iż oznacza to grzeczną odmowę. Kiedy przemówił, jego głos był tak cichy, że Alban musiał się wysilać, żeby go usłyszeć przy trzaskającym ogniu.

– Ile widziałeś ukrzyżowań?

– Wystarczająco – choć Alban nigdy nie skazał nikogo na ukrzyżowanie, jego poprzednik był znany z zasypywania całego regionu krzyżami. *Znaki drogowe do prawidłowych zachowań* – tak je nazwał stary setnik w dniu, gdy Alban przejmował jego stanowisko. *Postaw wystarczająco dużo takich znaków, a nawet Judejczycy nauczą się odczytywać przesłanie Rzymu* – dodał.

– Ja widziałem zbyt wiele okropnych zabójstw – kontynuował Linuks. – Cesarz Tyberiusz jest znany z krzyżowania swoich wrogów. Ale czegoś takiego w życiu nie widziałem; ani takiego procesu, który je poprzedzał. Judejska rada starszych, Sanhedryn – wiesz coś o nich?

– Jedyne znam nazwę.

– Ale słyszałeś, jak walczą między sobą, tak? Sanhedryn składa się z dwóch ugrupowań: faryzeuszy i saduceuszy, które się wzajemnie nienawidzą – Linuks potrząsnął głową. – Ale tamtego dnia przyszli razem i stanęli na dziedzińcu u Piłata jak jeden mąż. Wykrzykiwali te same słowa powtarzane na ulicach przez tłumy, które opłacili z własnej kieszeni. Jeszcze trochę i doszłoby do zamieszek. W kółko krzyczeli: „Ukrzyżuj Go! Ukrzyżuj Go!” Piłat



kazał Go ubiczować w nadziei, że to zaspokoi ich żądzę krwi. Ale zagrozili gubernatorowi otwartą rewoltą. Umył ręce. Rada wygrała. Prorok sam zaniósł swój krzyż na Golgotę.

Twarz Linuksa pociemniała w żarze ogniska.

– Wysłano mnie na południe, żebym coś załatwił. Właśnie wracałem przez Bramę Lwów, gdy to miało miejsce. Znienacka zrobiła się burza, taka, że sobie nie wyobrażasz. Niebo było ciemne niczym sny Proculi. Wiatr smagał ze wszystkich czterech stron świata. A potem ziemia się zatrzęsała. Doświadczyłem już wcześniej trzęsień ziemi, ale tym razem zdawało się, jakby świat wydawał ostatnie tchnienie.

Alban poczuł okropny lęk, jak za pierwszym razem, gdy usłyszał te wiadomości.

– A Atticus był w centrum tego wszystkiego? Nie dziwne, że zachorował.

Nagle Linuks wstał.

– Śpij dobrze, setniku. Jutro wielki dzień.

– Czekał.

Gdy Linuks odwrócił się do niego, Alban spytał:

– Co możesz mi powiedzieć o Piłacie?

– Nigdy go nie spotkałem?

– Jedynie przelotem, gdy przejmowałem dowództwo. Byłem jednym z dwudziestu oficerów w zatłoczonym pomieszczeniu.

Linuks przyjrzał mu się uważnie.

– On nic nie daje za darmo. O cokolwiek go poprosisz, wyne-gocjuje najwyższą cenę, jaką będziesz chciał zapłacić, a potem za-żąda jeszcze więcej – oczy Rzymianina błyszczały w świetle ogni-ska, pełne ostrzeżenia. – Wiedz dobrze, czego chcesz, setniku, i upewnij się, że twoje pragnienie jest warte tej ceny. Bo zapłacisz na pewno. Swoim łupem wojennym albo krwią. Może nawet życiem.



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

*Zamek Pilata, Cezarea.*

Alban nigdy wcześniej nie był w Cezarei, choć miał wiele okazji, by odwiedzić rzymskie centrum panowania. Unikał jednak Cezarei z bardzo konkretnego powodu.

Garnizony z peryferii, takie jak jego, były obsadzane najemnikami. Alban wiedział, że elita w tym mieście uważała ich za nic więcej, jak tylko chrzątki przylegające do zewnętrznych krawędzi Rzymu, za szumowiny często hańbiące swój mundur. Alban poprzysiągł sobie, że będzie przyjeżdżał do Jerozolimy lub Cezarei dopiero wówczas, gdy osiągnie uprzywilejowaną pozycję i będzie wystarczająco silny, by stanąć ponad tymi szyderstwami; gdy będzie przywódcą. Generałowie dostawali tytuł cezara. Czemu Gall miałby go nie dostać?

Nigdzie potęga Rzymu nie była tak widoczna, jak na drodze do Cezarei. Miasto rozciągało się na dziewięciu nadmorskich wzgórzach i wąskim pasie skalistej równiny. Jego granice były otoczo-

ne wieżami strażniczymi. Alban i Linuks zasalutowali dowódcy strażników i weszli do Cezarei wejściem południowym.

Szeroka aleja z kolumnadą prowadziła obok koloseum, po czym skręcała na północ w stronę morza.

Po miesiącach spędzonych w Galilei mieszanina zapachów miasta – wielbłądów, osłów, przypraw, ognisk i ludzi – nieprzyjemnie drażniła zmysły. Im dalej wjeżdżali w miasto, tym robiło się tłoczniej. Aleja rozszerzyła się i przekształciła w rynek; tu łatwo było spostrzec, dlaczego ludzie nazywają Cezareę miniatuurą Rzymu. Owszem, wzgórze pokrywał złoty piasek, a nie, jak w Rzymie, skały i skarłowaciałe drzewa, ale pałace były tak samo wspaniałe, jak te w stolicy imperium. Wolni ludzie, których Alban ujrzał, byli odziani w eleganckie togi i relaksowali się w luksusowych gospodach lub odwiedzali świetnie zaopatrzone stragany na rynku. Ich służba miała na sobie lepsze ubrania niż jakiekolwiek z tych, które on posiadał.

Zdaniem Albana pałac gubernatora znajdował się w najświetniejszym miejscu w całej Judei. Półka skalna, na której został wzniesiony, rozciągała się na południe od portu, sięgając daleko w głąb Morza Śródziemnego. Teren posiadłości zajmował cały ten półwysep. Od miasta odgradzała go niska budka strażnicza. Główna budowla pałacowa stała w najwyższym położonym miejscu, z widokiem zarówno na miasto jak i na morze. Zejście do morza tworzyła seria wypolerowanych stopni, a każdy był tak szeroki, jak cały garnizon, który Alban dopiero co opuścił.

Gdy Alban zsiadał z konia, poczuł podenerwowanie. Tak wiele zależało od następnych kilku godzin...

Linuks rozkazał strażnikom pałacowym zamknąć bandytów, których przywieźli, po czym zwrócił się do Albana:

– Możesz poczekać w środku, jeśli chcesz. Ja pójdę zdać raport.

– Zostawiasz mnie tutaj?

Linuks zasalutował zbliżającemu się do nich żołnierzowi i zniżył głos.

– Przyjmiesz moją radę?

– Zawsze – odparł Alban.

– Żaden oficer będący twoim przełożonym nie lubi być zaskakiwany. Ostatnia rzecz, której Piłat oczekuje od wzywanego żołnierza, to przybycie bez uprzedzenia z łupem i jeńcami.

Przez chwilę Alban poczuł obawę, że Linuks chce zepsuć pierwsze wrażenie Piłata na jego temat, lub też ukraść jego zasługę. Odsunął jednak te myśli od siebie.

– Dziękuję za twoją mądrość.

Strażnik wskazał Albanowi komnatę, której okno wychodziło na północne wzgórze miasta. Ten jednak wolał zostać z towarzyszącym mu podwładnym w cieniu padającym od dachu budynku strażników. Pomiedzy nimi a portem rozciągał się wspaniały miejski hipodrom, którego owalna bieżnia wyłożona była wysokiej jakości białym piaskiem. Z trzech stron otaczały go siedzenia; czwarta pozostała otwarta, aby widzowie mogli rozkoszować się widokiem lazurowych wód.

Podoficer otarł pył z twarzy.

– Chyba czuję zapach pieczonej baraniny.

Alban pokiwał głową. Z pałacowej kuchni położonej zaraz za budynkiem strażników słychać było głosy kobiet. Zastanawiał się, czy jeden z tych głosów nie należy do Lei.

– Ale żołnierzy pewnie tu karmią resztkami, tak samo jak wszędzie – narzekął podoficer.

– Dopilnuję, żebyś dostał to samo, co ja. A potem będziesz miał trochę wolnego.

Podwładny nie odpowiedział nic, więc Alban spytał:

- Czy coś jeszcze cię niepokoi?
- Partowie. Są zbyt spokojni.
- Byli szkoleni na pustyni – odparł Alban. – Nauczyli się dobrze ukrywać swoje uczucia.
- Ale nie aż tak. Nie mówiliby w taki sposób.
- Rozumiesz ich mowę?
- Nie muszę. Przysłuchiwałem im się wczoraj w nocy, kiedy myśleli, że cały obóz już śpi. Stałem na straży nieco dalej od nich. Śmiali się, jakby już byli wolni.

Alban zostawił podoficera i obszedł dookoła budynek strażników. Była to okazała budowla, z barakami, kuchnią, łazienkami, kwaterami sypialnymi i pozbawioną okien celą. Więźniowie nie byli w niej długo przetrzymywani – była przeznaczona jedynie dla tych, którzy czekali, aż Piłat ich osądzi. Wartownicy wyglądali jak wszędzie; mieli na twarzy wypisane zarazem znudzenie, jak i czujność.

- Chciałbym zobaczyć się z moimi więźniami – zwrócił się do nich.
- Teraz to są więźniowie Piłata – odparł jeden z nutą drwiny, ale podniósł się i sięgnął po klucze. Ruszał się wystarczająco wolno, by pokazać, co myśli o rozkazach wydawanych przez jakiegoś setnika z prowincji.

Partowie leżeli na postawionych pod ścianami drewnianych ławkach. Światło w pomieszczeniu zapewniała jedynie lampa oliwna. Więźniowie byli brudni i wyglądali na zmęczonych, lecz jak na gust Albana, byli zbyt spokojni. Tylko jeden pofatygował się, by rzucić Albanowi przelotne spojrzenie. Drugi leżał jak przedtem, gładząc brodę ręką zakutą w kajdany, gapiąc się w sufit i nucąc bezgłośnie.

- Gdy Alban wrócił na zewnątrz, Linuks już na niego czekał.
- Masz zaproszenie do łaźni Piłata – obwieścił.

Alban przysunął się bliżej niego i mruknął:

– Więźniowie zachowują się, jakby mieli zostać ułaskawieni. Wczoraj w nocy mój podoficer słyszał jak rozmawiali i śmiali się. Sprawiali wrażenie, jakby czekali, aż ktoś da im klucze do kajdan.

Linuks odwrócił się plecami do wartownika i odpowiedział:

– Odtąd musisz zakładać, że wszystko, co powiesz lub zrobisz, zostanie zaobserwowane i doniesione.

– Rozumiem – Alban podniósł głos i powiedział: – Mój żołnierz potrzebuje porządnego posiłku. A nasze konie trzeba wprowadzić do stajni.

Linuks odwrócił się do wartownika.

– Dopilnuj tego.

Zostawiając Albana, wszedł do budynku strażników. Gdy po chwili wyszedł, sprawiał wrażenie, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Chodź ze mną.

Poprowadził Albana obok kuchni w stronę drzwi prowadzących do przebieralni.

– Co myślisz o Partach? – spytał Alban.

– Warto to sprawdzić – Linuks wskazał Albanowi jedną z kabin, gdzie obaj się rozebrali.

Pomieszczenia łaźni były zbyt eleganckie jak dla zwykłego żołnierza. Ręczniki i szaty do kąpieli leżały ułożone na tacach z onyksu i steatytu. W szczerozłotych wazonach stały kwiaty. Mozaikę na podłodze przyozdabiały kamienie półszlachetne, a naczynia w łaźni były ręcznie rzeźbione w kości słoniowej. Alban był pewien, że człowiek, który rządzi Judeą z takiego pałacu, niespecjalnie potrzebuje jakiegoś pospolitego Galla.

Usługujący w łaźni niewolnik podał im mydła oraz maści w srebrnych naczynkach. Świeża woda lała się bez przerwy, mieli do dyspozycji nowe brzytwy ze srebrnymi trzonkami. Linuks i Al-

ban weszli do pierwszej z trzech łaźni, podgrzewanego *caldarium*. W powietrzu unosiła się para, przez co pokrywające ściany malowidła zdawały się powstawać do życia i tańczyć. Następnie przenieśli się do *frigidarium*, znajdującego się w komnacie o trzech ścianach; tam, gdzie powinna być czwarta, otwierał się widok na kryształowo błękitne morze. Dwa stopnie prowadziły w dół do patio z trzecią łaźnią, wypełnioną podgrzewaną wodą morską. Odpoczywało tam w nonszalanckich pozach pół tuzina mężczyzn. Alban z każdego rogu czuł na sobie czyjś wzrok.

Zjedli z Linuksem posiłek w jednej z bocznych alków. Naprzeciw nich niewolnik masował potężnego mężczyznę rozciągniętego na stole. Inni jedli śliwki i pili słodkie wino, rozmawiając o Rzymie, pieniądzach i władzy.

Gdy zwolniła się komnata obok nich, Linus mruknął:

– Jeśli chcesz tu przeżyć, musisz wchodzić na każde spotkanie dobrze przygotowany. Zostawiłem cię przy budynku strażników, żeby porozmawiać z sojusznikami – podniósł krawędź ręcznika, pocierając nim twarz i tłumiąc słowa tak, że były prawie niesłyszalne. – Procula jest nadal bardzo chora z powodu swoich snów. Po naszym powrocie z Jerozolimy Herod złożył Piłatowi wizytę, a teraz namiestnik wysłał posłańca do pałacu Heroda na drugim wzgórzu, nad hipodromem. Przez jakiś czas ci dwaj się nie lubili, ale śmierć Proroka zjednoczyła ich w sposób, którego nie potrafię wyjaśnić. A nie mam zaufania do rzeczy, których nie rozumiem.

W oddali jakiś głos wywołał imię Albana.

– Tutaj! – odkrzyknął Linuks, dodając ciszej do Albana: – Gdy spotykasz się z Piłatem, myśl o każdym spotkaniu tak, jakbyś przystępował do bitwy.

W przebieralni Alban znalazł przygotowaną dla niego togę. Splot bawełny i lnu był wyższej jakości niż ubrania, które kiedy-

kolwiek wcześniej miał na sobie. Na bocznej ścianie zaskoczył go kolejny z cudów tego pałacu – lustro o wypolerowanej powierzchni sięgające od podłogi wysoko ponad jego głowę. Nie zważając na zniecierpliwienie służącego, Alban przyglądał się sobie przez dłuższą chwilę. Po raz pierwszy w życiu ujrzał w lustrze swoje pełne odbicie.

Mężczyzna spoglądający na niego z lustra był znacznie dojrzalszy niż ten, który przybył do Judei cztery lata temu. Miał przedzielony bruzdą podbródek i bliznę od lewej skroni do linii włosów – pamiątkę po strzale, która omal nie pozbawiła go oka. Jego włosy, wcześniej koloru oscylującego pomiędzy brązowym i rdzawym, teraz przybrały złotą barwę, a jego skóra była ciemna jak końskie siodło. Lecz jego uwagę najbardziej zwróciły oczy. Zawsze był ostrożny, rozważny, powściągliwy, lecz teraz zobaczył w nich cień strachu.